

43220

B
WF
UW

PRENTICE HALL

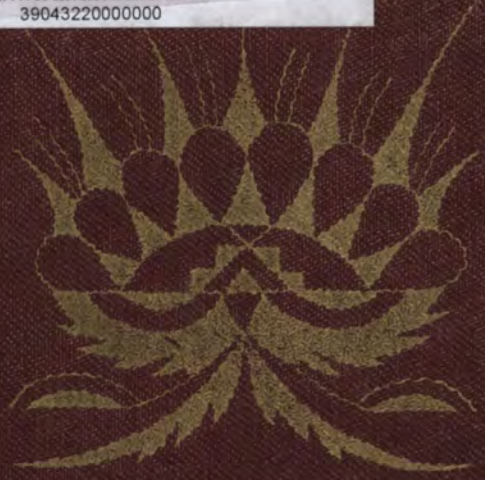
MOC ŻYCIA

Połączone Biblioteki WFIS UW, IFiS PAN i PTF

U.43220



39043220000000



M O C Ż Y C I A

TEGOŻ AUTORA:

.....
MOC DUCHA
PRZECIW ŚMIERCI

P R E N T I C E M U L F O R D

M O C Ż Y C I A

43220

PRZEŁOŻYŁ STEFAN MNIESKI



Tell

TRZASKA, EVERT I MICHAŁSKI
WARSZAWA, GMACH HOTELU EUROPEJSKIEGO

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE



H-123593

43220

DRUKARNIA M. GARASIŃSKI W WARSZAWIE

K.

4.6.77

A. 208177

<http://rcin.org.pl/ifis>

O D T Ł U M A C Z A

„Moc życia“ ma nieco odmienny charakter, niż dwie poprzednie książki Prentice'a Mulforda: „Przeciw śmierci“ i „Moc ducha“. Gdy bowiem z tamtych poznawaliśmy tylko Mulforda myśliciela, w tej — albo raczej w jej pierwszej i najdłuższej, choć może nie najważniejszej, części — zawieramy znajomość z Mulfordem człowiekiem, od strony osobistej i niemal prywatnej. Część ta — „Anioł z moczarów“ — ma charakter wybitnie autobiograficzny. Dlatego też pozwoliliśmy sobie dodać do niej na początku kilka słów o życiu i śmierci Mulforda, aby umożliwić czytelnikowi, że tak powiemy, umiejscowienie w biografii autora opowiedzianego tutaj epizodu z własnoręcznym budowaniem przez Mulforda domu. Przy tej to właśnie sposobności daje on się nam bliżej poznać jako człowiek.

I na tej znajomości Mulford bynajmniej nie traci. Przeciwnie, zyskuje. Jego rozum życiowy, jego doświadczenie, jego iście amerykańska prostota, a nawet prostolinijność i praktyczność, jego humor, werwa, szczerłość i otwartość — wszystkie te i inne, nie mniej sympatyczne cechy ukazują nam go w jak najlepszym świetle. A nie potrzebujemy chyba dodawać—

dla tych przynajmniej, którzy inne jego prace znają, — jak wiele można nauczyć się właśnie od Mulforda-człowieka, jak bardzo może on być w tej właśnie dziedzinie skarbnicą mądrości i wiedzy o życiu nawet dla tych, którzyby jego wiedzy o Duchu i Bycie nie podzielali.

Z „Mocy życia“ poznajemy też lepiej jeszcze, niż z prac poprzednich, Mulforda-pisarza, pełnego humoru i temperamentu i niepodjętych skądinąd w nim zdolności do malowania piórem scen rodzajowych, charakterystycznych.

Do „Anioła z moczarów“ — do tego fragmentu autobiograficznego większych rozmiarów, którego sam tytuł żartobliwy mówi o jego charakterze — dodaliśmy na końcu kilka szkiców, związanych z nim, jak zresztą i z całością wszystkich prac Mulforda, tem, że dotyczą centralnego zagadnienia osłabłego człowieka współczesnego: siły i spokoju zrównoważonego, władczyego i szczęśliwego ducha, którego tchnąć w ludzi Mulford tak tu pragnął, oraz że w skróceniu stawiają nam przed oczy wszystkie zasadnicze idee wielkiego entuzjasty życia. Sądzymy, że w ten sposób uzupełniona książka tylko zyskała na pełności obrazu duchowego Mulforda-człowieka z „Anioła z moczarów“.

O ŻYCIU I ŚMIERCI PRENTICE'A MULFORDA

Urodził się dnia 5 kwietnia 1834 r. w Sag Harbour na Long Island — wyspie, położonej przy południowych brzegach stanu New-York (był więc, nawiasem mówiąc, ziomkiem wielkiego poety amerykańskiego, Walta Whitmana).

W szkołach niewiele przesiadywał, uniwersytetu żadnego nie kończył. Był samoukiem: co umiał i czem został, samemu sobie tylko miał do zawdzięczenia. Tę samorodność, tę — że się tak wyrazimy — niemal „samodziałowość“ myśli znać w jego dziełach zupełnie wyraźnie. Ich źródłem głównym i niemal jedynym jest życie własne i jego doświadczenia, oczywiście wewnętrzne, duchowe przede wszystkim, — oraz znajomość losów i charakterów ludzkich, tudzież wrodzone, niezwykle głębokie potrzeby i tęsknoty idealne.

Dzieła Mulforda są jasne, przystępne i bliższe wszystkim, nietylko specjalistom. W tem tkwi tajemnica ich czaru i uroku — w tej ich

bezpośredniości; w tem jest źródło ich wpływu na szeroki ogół — wpływu, którego nie miał i nie ma żaden z tylu fachowych filozofów, rozporządzających wprawdzie większem wykształceniem i dialektycznym wyrobieniem myśli, lecz nie posiadających takiego głębokiego, jak Mulford, odczucia żywego życia, jego nędz i wartości, odczucia krzyczących o zaspokojenie potrzeb duchowych człowieka współczesnego.

W zewnętrzne, sensacyjne jakieś wydarzenia losy Mulforda nie obfitują zgoła. Przez długie i ciężkie lata był dziennikarzem, w lepszych chwilach — wydawcą na niewielką skalę; a dopiero na schyłku ciężkiego żywota zstąpiło nań nagle natchnienie, powołanie, i został pisarzem.

Rozpoczął „karjerę“ od służby okrętowej: był jakiś czas kucharzem na statku, lecz z bardzo małym powodzeniem; potem poławiaczem wielorybów — również bez rezultatu. A przeto, jak tylu innych Yankesów w owych oddalonych czasach, został wreszcie poszukiwaczem złota w Kalifornji.

Złota niewiele znalazł, ale za to w tym czasie, około roku 1863, ogłosił — pod pseudonimem „Dogberry“, zaczerpniętym z Szekspirońskiego „Wiele hałasu o nic“ — pierwszy swój szkic w jakimś kalifornijskim piśmie

provincjonalnem. I spodobał się odrazu awanturnikom, złotą szukającym, przez humor swój i werwę. Po kilku utworach — nie tego oczywiście typu, co późniejsze — Mulford stał się znany.

Poniosły go natychmiast marzenia, wielkie plany... Posiadał wyobraźnię... Zaczął snuć niebosiężne projekty interesów — organizował olbrzymie przedsięwzięcia, które rzeczywistością nigdy się nie stały... Był wtedy zresztą zupełnym biedakiem: zarabiał niecałego dolara dziennie, a w majątku ruchomym miał strzelbę i z ubrania tyle, co na sobie. Stopniowo przerywał się na dziennikarstwo.

Około 1866 r. dostał się do pisma „Wiek złoty“ w San Francisco. Tam poznał wielu, jakby dziś powiedziano, „asów“ ówczesnej literatury amerykańskiej: Bret Harte'a, Marka Twaina... Lecz sam, nieśmiały, delikatny długo jeszcze pozostawał w cieniu.

W dwa lata później zdołał dojść do tego, że zaczął wydawać własne pismo: „Gazetę Stoctońską“: lecz ta niedługi miała żywot — Mulford zapadł poważnie na zdrowiu.

I znów był dziennikarzem — „na dniówkę piszącym“, jak o dziennikarskich wyrobnikach pióra z niechęcią i przekąsem mawiał Schopenhauer. I tak biegły lata.

Pewną rozmaitość, choć nie poprawę losu, przyniosła Mulfordowi podróż do Europy. Udało mu się mianowicie namówić kilku kupców z San Francisco, aby go wysłali na swój koszt do Anglii dla propagandy i reklamy.

Z pięciuset dolarami (na owe czasy była to znaczna suma) wyruszył w 1872 r. w drogę. Misja powiodła mu się. Objechał całą Anglię z odczytami—był też na kontynencie—i wrócił, mając w kieszeni aż dziewięć dolarów gotówką, aby znów zostać jak dawniej dziennikarzem i — od czasu do czasu... niedzielnym kaznodzieją. Miał już bowiem tendencję do pouczania bliźnich.

Po kilku latach otrzymał poważniejszą, już bowiem stale płatną, posadę dziennikarską w „Graphic’u“ nowoyorskim. Tu przez sześć lat codziennie — z jego usposobieniem, entuzjastycznymi nerwowem — pisywał, jak więzień do taczki przykuty, „kronikę dnia“, aż w końcu do reszty sterał zdrowie.

I wtedy właśnie wpadł na pomysł wybudowania sobie za drobne oszczędności własnymi rękoma domku pustelnika na ustroniu w New Jersey, w bagnistej i leśnej okolicy. Tę historję znajdują czytelnicy poniżej, opowiedzianą z wdziękiem, werwą i humorem p. t. „Anioł z moczarów“.

Tam oto, w tej pustelni, już pod sam koniec życia — dla jego delikatnej i wątłej natury pełnego tyłu cierpień — Mulford zaczął naprawdę pisać. Lub raczej wyśpiewywać swój hymn na cześć życia, które cieleśnie nawet — on, człowiek schorowany — unieśmiertelnić pragnął przez potęgę ducha.

Pisał przeważnie dosyć krótkie szkice, które stopniowo, poczynając od roku 1899-go, wydawał własnym kosztem i nakładem, jako „Bibliotekę białego krzyża“, a zebrał je potem pod wspólnym tytułem „Jakie posiadasz siły i jak ich masz używać“. I mimo że nie posługiwał się żadną reklamą, że nawet przeciwnie, postępował wbrew wszelkim prawidłom wydawniczym i księgarskim, osiągnął odrazu wielkie powodzenie. W trzy lata po ukazaniu się pierwszej, z ledwością z oszczędności wydanej książeczki, czytano go już we wszystkich częściach świata: dostawał setki listów od zwolenników, a nawet więcej, bo od wyznawców swych idei w najdalszych zakątkach kuli ziemskiej.

Niestety jednak niedługo sądzonem mu już było cieszyć się tym tryumfem, tak późno osiągniętym po tak ciężkim życiu. Śmierć Mulforda jest bardzo dziwna i niezwykła.

Dnia 2 maja 1891 r. chciał on, jak się zdaje, przedsięwziąć samotną podróż łódką do Sag Harbour, miejsca swego urodzenia. Poco, niewiadomo. Można właściwie tylko się domyślać, jak to wszystko było—odludek, pracą twórczą wyłącznie zajęty, nie zwierzał się nikomu. Dość, że w tej właśnie łódce, którą wyruszał w drogę, znaleziono go martwego. Leżał, zawinięty na spoczynek w koce. Wszystko już było gotowe do drogi — żagle wyrychtowane... Umarł widocznie we śnie — twarz nie zdradzała żadnej walki ze śmiercią, agonji, trwogi ni cierpienia. Poprostu opuścił ciało, które w spokoju leżące pozostawił po sobie, odchodząc...

Życie miał ciężkie — śmierć bardzo po rycersku z nim sobie postąpiła, zważywszy, że był przecież tym, co ją negocował i unicestwić pragnął.

ANIOŁ Z MOCZARÓW

I

A L F A

Nosiłem się już oddawna z zamiarem wybudowania sobie własnymi rękoma domu pośród lasów, by w nim zamieszkać w samotności — cieśla i król zarazem.

Nie dlatego, broń Boże! bym miał być odлюдkiem jakimś czy ascetą, albo abym się był poróżnił ze światem.

Nie! nie mam potemu najmniejszych powodów, aby na świat narzekać. Dał mi on moc rozrywek — w przerwach między bólami głowy, napadami skruchy i pobieraniem dobrych postanowień. Ostatnich najczęściej dlatego nie zdołałem urzeczywistniać w czynie, że mi tak jakoś prędko z rąk się wymykały, znikając jak kamfora.

Usiłowałem dobrze obchodzić się z życiem, i ono ze swej strony tem samem odwzajemniło mi się. Życie bowiem uśmiechem na uśmiech od-

powiada, szturchańcem na szturchaniec — to niezawodna prawda!

Jeżeli czytelniczka moja jest młodą dziewczyną, niechże pamięta, proszę, że piękność swą znacznie dłużej zachować zdoła, skoro miłą i wdzięczną będzie ot poprostu dlatego, że żyje, a nie dla towarzystwa; gdy nie w powierzchowny grymas uprzejmości twarz swoją przystroi, lecz gdy raczej wewnątrznie uśmiechać się będzie do swojej przyszłości, bo wtedy i przyszłość uśmiechnie się do niej.

W New Jersey znalazłem po dłuższem szukaniu kawałek lasu, źródło, bagienko, strumyk i dąb rozłożysty. Pod tym wspaniałym dębem zacząłem się budować.

Było to przed pięciu laty. Miałem wówczas lat czterdzieści dziewięć. Dziś nie czuję się starszy — raczej nieco młodszy. Jak inni o tem myślą i wiek mój oceniają, nie wiem — to pytanie zgoła odmiennej natury. Wszelako decydującym świadkiem pozostanie chyba własne odczucie nasze.

Gdy flaszka szampana krąży w czyichś żyłach, co go wtedy obchodzi, jak tam inni o nim i jego latach myślą! Takiego stanu zlekka podochoconej beztroski powin-

no się móc zawsze zaczerpnąć z czar-
y życia.

Z tych czterdziestu dziewięciu lat mego ży-
wota dwa bezbarwne lata spędziłem jako ma-
rynarz na statku handlowym i na skunerze
do połowu wielorybów.

Na ostatnim byłem, ku utrapieniu całej za-
łogi, kucharzem; cierpieli, bo cierpieli wszyscy,
co się dostali w sferę wpływów moich prze-
stępstw kulinarnych. Dopiero, gdyśmy byli
już na pełnym morzu, odkryto, że nie mia-
łem najmniejszego pojęcia ani wyobrażenia
o tej tak szlachetnej i zwłaszcza pożytecznej
sztuce gotowania. Ale cóż, wtedy było już za
późno.

A znowu lat dwanaście spędziłem w Kali-
fornji, gdzie z trudem wygrzebałem odrobinę
złota i całe góry śmiecia. Prowadziłem tam
szkołę, miałem bar i sklepik, kruszyłem pod
siodłem mięso dla przemywaczy złota nad rze-
ką Tuolamne, kandydowałem na posła, zało-
żyłem hodowlę świń, które wyzdychały, słu-
żyłem w policji, byłem poborcą podatkowym
i listonoszem, szukałem srebra w górach Ne-
vady i nie znalazłem tam nic prócz śniegu,
nędzy i pięknych widoków — kreśliłem plany
miast nowozakładanych, doprowadzałem swoją
gospodarką kwitnące fermy do stanu pustyni

i ugorów wrześnych, wygłaszałem odczyty i pisywałem do miejscowych gazet. Dokonałem próby mego organizmu i praw nim rządzących w sposób zgodny z dobrą reputacją człowieka i w inny mniej z nią zgodny. Jestem dotychczas zdrowszy i rzeźki, jakkolwiek mogłem być wówczas mieć tyle chorób, ilebym tylko zechciał, gdyby mi przyszła była ochota płacić za nie przeróżnym specjalistom od lekarstw, doktorom oraz aptekarzom.

Widziałem w swym życiu przyładek Horna, Londyn, Paryż, Wiedeń — wieloryba, na brzeg wyrzuconego z morza — załogę zbuntowaną — a także pewną damę, której nowy kapelusz nie był potrzebny, jako że... umarła.

Mieszkałem dwa lata w Anglii — miałem tam świetną pogodę i bardzo niewiele gotówki; obejrzałem kraj ten od granicy Szkocji aż do Duwru; bywałem w przeszło trzydziestu rodzinach, wysoko i nisko stojących na drabinie hierarchji społecznej, ubogich i bogatych, patrycjuszowskich i plebejuszowskich.

A zanim jeszcze w świat byłem wyfrunął, prowadziłem, jako czternastoletni wyrostek, zajazd na prowincji i w cztery lata „wykończyłem“ go gruntownie; lecz rówieśników moich oraz rówieśnice ujeżdżanie na mych koniach nigdy nie kosztowała ani grosza. Dobrze to były

dla mnie czasy, gdy zarządzałem tym zajazdem, który mój ojciec, umierając, matce mej zostawił. Okoliczności zaś zmusiły ją do tego, by zarząd ten złożyła w przeważającej części w ręce najstarszego swego i jedyne go syna. Tym synem ja byłem. Matka moja, kobieta trzeźwego umysłu, nie miała przekonania ani chęci do prowadzenia samej tego interesu, to też ją prędko odeń uwolniłem, co było po jej myśli, a i mnie również przyjemność sprawiało.

Trzymaliśmy w tym zajeździe bar, który wydatnie popierali chłopcy w moim wieku, jako że poczęstunki w nim, jeśli nie nic, to tylko bardzo mało ich kosztowały. Najczęściej nawet to pierwsze — okoliczność, która ogromnie powiększała powszechną wesołość, lecz nie dochody z baru.

Moje miasto rodzinne była to miejscowość, w której niechnoby tylko jakiś chłopiec zechciał bodajby spróbować opowiedzieć swojej matce, co myślał, robił i co mu się zdarzyło w ciągu jednych jakichś dwudziestu czterech godzin, to próba tego rodzaju byłaby wywołała tyle kłótni, tyle przerażenia i pogardy dla niego, że byłoby go to na długie miesiące od wszelkiej odstraszyło cnoty.

W mieście tem wszyscy chłopcy okłamywali swoich ojców sumienie, systematycznie i bez najmniejszych oznak skruchy — zupełnie tak samo, jak ojcowie ci ongi okłamywali „dziadków“.

Połowa tego miasta byli to abstynenci, którzy więcej, niż samej wódki, nienawidzili pijących ją, a tych, którzy byli odmiennego od nich zdania, obrzucali ciężkimi wymysłami w nieumiarkowanych towarzystwach umiarkowania i trzeźwości.

W mieście tem mówcy publiczni bywali pijani przesądami, zelantyzmem i zapamiętałą chęcią nawracania w niemniejszym stopniu, jak gdzieindziej pijacy nieodkazanym spirytusem.

Ale wracając do mnie — bar nasz doprowadziłem do stanu zasłużonego spoczynku w ten sposób, iż tak to jakoś umiałem urządzić, że wydatki w tem przedsiębiorstwie stale przewyższały dochód z niego. Miało to ten błogosławiony skutek, że młodzież miejscowa szukała odtąd podniet w pewnym innym lokalu, w którym musiała płacić, a to, jak wiadomo, jest potężnym bodźcem, jeżeli nie do umoralnienia wogóle, to w każdym razie do umiarkowania.

Gdym już dokonał tego dzieła zniszczenia —

a nie jest to tak mało, jak na lat siedemnaście — ruszyłem w świat po szczęście, no i szukam go jeszcze do dziś dnia z wynikami, które częściowo przemawiają za mną, a częściowo przeciw mnie, przyznaję.

Lecz miałem dobre czasy w życiu i zamierzam miewać jeszcze lepsze.

II

ZAŁOŻENIE KAMIENIA WĘGIELNEGO

Zakupiłem za jakieś pięćdziesiąt dolarów desek i budulca—loco mój dąb, gdzie zwieźć je i złożyć kazałem.

Żadna ręka prócz mojej nie zakładała fundamentów.

Ułożyłem naprzód podłogę. Architektów o radę nie pytałem. Nie miałem żadnego planu budowy, któryby mógł przeszkodzić mi do ułożenia sobie naprzód podłogi w ten sposób, w jaki to było najwygodniejsze dla mnie. Com zrobił, tom zrobił, a w każdym razie ta część domu była wybudowana ostatecznie.

Dalej pozwoliłem budynkowi memu narastać, że tak powiem, w sposób naturalny. Fachowy cieśla byłby oczywiście wzniósł przedewszystkiem jakiś szkielet domu; ja wszelako miałem odmienne wyczucie: niechno mi tylko ta podłoga spadnie z głowy, to już reszta budynku w jakiś sposób sama wyrośnie na podłodze.

No i wyrosła w rzeczy samej.

Wiem, że mem budowaniem zadałem oczywisty gwałt wszystkim przepisom przyzwoitości architekuralnej i sto razy więcej pracy w dom włożyłem, niż było jej potrzeba, lecz praca ta była dla mnie tylko radością i zabawą. Dała ona w ostatecznym wyniku niewiele więcej, jak duże drewniane pudło, zbite z desek dwunastostopowej długości, które to pudło nawet po wykończeniu dalekie było od precyzji i dokładności wykonania bodaj tych skrzyń, co to służą do przewożenia za morze samochodów i innych przedmiotów o większych rozmiarach. Ale ja przecież dom mój budowałem nie dla precyzji wykonania i nie dla innych ludzi — budowałem go dla siebie, dla własnej przyjemności samego budowania. Ten jeden raz w życiu zapragnąłem mieć całkowitą, nieograniczoną i niczem niekrępowaną wolność zmagania się z trudnościami, borykania się i potykania, popełniania błędów, robienia głupstw nawet, lecz bez kontroli bliźnich, bez ich czułego opiekowania się mną, krytykowania, ganienia, zachęcania, wystawiania mi dobrego lub złego świadectwa. Tę wolność osiągnąłem i na błędach do-

woli użyłem sobie. Chwyti i zasiągniałem w robocie daleki — nie żałowałem sobie przyjemności.

Przez całe dwa miesiące, podczas których majstrowałem tę krzywonożą i jakby od wiatru na jeden bok przechyloną arkę, ani raz żywa dusza nie pojawiła się w pobliżu, aby się na mnie gapić, szczyrzyć zęby i mówić, jak ja źle wszystko robię. A kiedy taka, uczciwszy uszy, bestja nawet nic nie mówi, co złego myśli o nas i o naszej robocie, to ma szelma taki sposób przyglądania nam się, jakby to źle myślała — czyli innemi słowy, tylko myśląc i nic nie mówiąc, daje człowiekowi odczuć, że tak myśli. Ludzie tego rodzaju są jak morowe powietrze.

Ja chcę robić wszystko na swój własny sposób i, robiąc coraz dalej, uczyć się z własnych błędów; a gdy już skończę, spytać kogoś kompetentnego, jak się to lepiej robi; ale dopiero wtedy życzę sobie zasięgnąć rady i nauki — broń Boże! nie wcześniej, niż po ukończeniu. Tego rodzaju kuśtykanie naprzód jest to pewien subtelny i wyszukany zbytek. Na niego właśnie chciałem być sobie pozwolić i odpowiednio za niego zapłacić. Nikomu nic do tego.

Posiadłość moja leżała na skraju ogromnego

poła, zasianego zbożem. Na horyzoncie widać było jeden jedyny dom w oddali. Drogi nie było żadnej. Wszelki taki „pouczacz“, o jakich mówiłem, musiałby być całą milę brnąć poprzez moczary, aby się do mnie dostać.

I tak oto na deszczu i śniegu i w błocie, błędząc, partoląc i poprawiając, budowałem w ustroniu, na świeżym powietrzu przez styczcień i luty. Nocowałem w sąsiedztwie, właśnie w owym dalekim domu na horyzoncie. Drałowałem co rano milę drogi do najbliższej stacji kolejowej; przyjeżdżałem do miasta już o pół do ósmej, poczem odrabiałem moje kilkogodzinne pensum w redakcji pewnego dziennika miejscowego. Praca moja w piśmie polegała na wyliczaniu tych wiecznie jednakowych zdarzeń z dnia poprzedniego, jako to w szczególności różnego rodzaju, a zawsze do siebie podobnych: zabójstw, włamań, wybuchów, samobójstw (rewolwer, brzytwa, strycek lub trucizna), kradzieży po domach, bankach, sklepach, złodziejstw kieszonkowych, pożarów, pękających kotłów, spadających wind, nieszczęśliwych wypadków (gaz, nafta, benzyna — gorąco lub zimno — góry, morze), konkursów, bójek, ucieczek z więzienia, i co tam jeszcze wogóle się zdarza, wiecznie na to samo kopyto, w społeczeństwach cywilizowanych

rok w rok, jak zapisał—z tą jedynie różnicą, że owi złoczyńcy oraz ich ofiary noszą coraz to odmienne nazwiska; a zresztą, czasem nawet i tej różnorodności zły los dać nie raczy.

Zdumiewam się, doprawdy, jak ludzi nie znudziło codzienne odczytywanie tego monotonnego katalogu okropności, który im sporządzałem. Może przez całą wieczność będą to czytali co rano do śniadania?... Może niezbadana w wyrokach swych Opatrzność ma zamiar zakonserwować tak mało pojętne ich ciała do tej tak mało pojętnej działalności?... Nic nie rozumiem, na czym polega konieczność czy pożytek dowiadywania się przy rannej kawie z bułeczkami, że znaleziono w nocy jakiegoś tam włóczęgę powieszoną w parku, lub że jakiś idjota truł się karbolem na ławce w ogrodzie, na której ja może jutro siedzieć będę, i zmarł, ponieważ dziewczyna, którą chciał poślubić i unieszczęśliwić, wolała wyjść zamaż za jakiegoś innego, również jak on idjotę, i przez niego zostać unieszczęśliwiona.

Pisywałem też wówczas fachowe artykuły i obwieszczałem światu, jak to w dziedzinach społecznej, politycznej i rozmaitych innych sprawy strasznie źle stoją, i jak ich stan w przyszłości poprawićby można. Zajmowałem się wtedy znacznie częściej i więcej reformo-

waniem świata, niż siebie samego — żarówkę intelektu mego skierowywałem o wiele cierpliwiej i wytrwalej na błędy innych ludzi, niż na swoje własne.

Byłem zbyt długo dziennikarzem, abym mógł nie wiedzieć, że są publicyści trojakiiego rodzaju: tacy, którzy potrafią pisać o wszelkich wspaniałościach, lecz przytem nie dość mają zmysłu praktycznego, by gwóźdź wbić w ścianę prosto albo odróżnić dziesięciomiesięczne oskubane kurczę od dziesięcioletniej starej, łykowatej kury; dalej tacy, którzy i pisać umieją i, oprócz tego, rozum mają; a wreszcie tacy, którzy, sami pisać nie umiając, posiadają talent zaprzęgania do pióra innych i nakręcania cudzych mózgów, jak zegarków, ku korzyści własnej, — co zresztą jest ich dobrem prawem, kto bowiem ma zdolności, lecz nie jest obdarzony zmysłem do interesów, ten wcześniej czy później musi doczekać się tego, że ktoś inny, umiający ożywiać, organizować i urzeczywistniać idee, za niego zbierać będzie dojrzałe w słońcu życia owoce z drzewa jego własnego talentu.

Siadywałem po redakcjach obok różnych mężów wysoce wykształconych i na wszystkie boki wyegzaminowanych, których mózgi były hurtowemi składami wiadomości, ale też niczem

więcej, i którzy przeto gorliwie orali za marne ośm dolarów tygodniowo, pisali, co im szef kazał, gryzmolili biedacy, skrobali piórami, bazgrali i bazgrali i gorzko się żalili, że ich kwalifikacje i zdolności nie znajdowały większego uznania w oczach świata. I rozprawiali wiecznie o tem, czegoby to oni dopiero dowiedzieli, gdyby im się tylko raz kiedyś jakaś lepsza „sposobność“ przytrafiła. Piorunowali na tę naszą kupiecką, sprzedajną epokę i na czysto handlowy kierunek przedsiębiorstwa, w którym pracowali, i nigdy nie rozjaśniło się im nieborakom na tyle w głowach, aby zdołali poznać tę oczywistą prawdę, że jedyną „sposobnością“, jaką ma na tym świecie człowiek, aby dać poznać swe idee, jest wziąć na siebie odpowiedzialność i samemu sobie „sposobności“ stwarzać—tak, jak to właśnie zrobił ich szef z pierwszego piętra, który im wypłacał ich tygodniowe pensje i wyzyskiwał ich, jak te książkowe mole literackie, ponieważ sami z siebie nigdy się oni nie odważyli być czemś innym.

Co się mnie tyczy, to z sumieniem względnie czystem pitrasilem swe codzienne „ragoût“ umysłowe z ingredjencji barbarzyńskiej cywilizacji naszej, ponieważ dobrze mi za to płacano, robota mnie bawiła, a publiczność lubiła i domagała się swych codziennych potworności

akurat w tej postaci, w jakiej je podawałem.

Lecz o godzinie jedenastej rano już znów, uciekwszy z redakcji, pędziłem koleją do siebie, na me ulubione moczary koło dębu, i pracowałem tam aż do zmroku, czasami okazyjnie pod okiem jakiejś wrony, która przycupnęła na sąsiednim drzewie, zmęczona, zła i głodna, bo nie było w pobliżu ani źdźbła młodego zboża do wyskubywania.

III

O KUPNIE NARZĘDZI — I O KUPOWANIU WOGÓLE

Zanim zabrałem się do budowania, sprawiłem sobie różne przyrządy do ciesiołki, aby mieć czem budować. Nabywałem też narzędzia przez cały czas budowy—kupowałem ich wiele więcej, niż potrzeba. Każdy terminatorod stolarza byłby zmajstrował moją chałupinę za pomocą młotka, piły i odpowiedniej liczby gwoździ. Ale sztamajzy, dłuta, piły i winkle z nowiutkimi rączkami i ostrzami błyszczącymi były tak kuszącą i fascynującą nowością dla mnie nowicjusza!...

Kupując, wciągany byłem coraz głębiej w ten wir, w ten specjalny lej chłonący kupowania coraz to nowych narzędzi. Nie mogłem poprostu przejść około żadnego składu z niemi, by się nie okazało, że mi najnieodzowniej trzeba jakiejś conajmniej połowy całej wystawy w oknie. No i potrzebowałem ich istotnie — p o

trzebowałem przyjemności, leżącej w kupowaniu... oraz... w oglądaniu; ale same narzędzia nie były mi potrzebne.

Kupowanie nowych rzeczy, czy się ich potrzebuje czy nie, ma dla nas wielki urok. Gorączka kupowania wybucha z nienacką, przy pierwszej lepszej okazji, zupełnie niespodzianie, i opróżnia sakiewkę naszą w jednej chwili, często o wiele prędzej, niż zaskoczony tem zakupywacz zdoła napełnić ją znowu.

Rozumiem doskonale panie, które wychodzą na łów „po sprawunki“ i wracają do domu, dosłownie obwieszane paczkami, jak choinki—kupiwszy dziesięć razy więcej rzeczy, niż zamierzały, niż marzyły nawet. Wielkie magazyny wywierają na dusze nasze wpływ tajemniczy i niebezpieczny: mają one takie akieś dziwne działanie na nas, iż rzeczy zgoła nie do użytku zdają się pożądanę.

Z czasem wynalazłem jedyną skuteczną metodę obrony przed temi czarami. Trzeba rozpostrzeć żagle woli i ruszać prosto naprzód, z mocnem postanowieniem kupienia tylko pewnej określonej rzeczy — dać nurka skróś ocean zbytecznej tandety i wypłynąć na powierzchnię po drugiej stronie ze swym sprawunkiem w zębach!

W ten sposób nauczyłem się wchodzić do sklepów i wychodzić z nich, nieobładowany żadnymi zbytecznymi sprawunkami.

Początkowo kupowałem moc różnych faramuszek, ulegając urokowi i namowie tych małych magów handlu — subiektów sklepowych. Ci zgóry wpajają w człowieka przekonanie, albo raczej poczucie, że z chęcią czy bez chęci, ale coś kupić musi, bo w przeciwnym razie oglądanie choćby przez pięć minut towarów byłoby marnowaniem drogiego czasu tych magów-subiektów. Trzeba więc wchodzić do sklepu z jak najostrzejszą przytomnością umysłu i znajdować się pod jak najsilniejszą presją skoncentrowanej woli nie kupowania prócz rzeczy upatrzonej, aby móc skutecznie stawić czoło milczącej potęgze tych ludzi. Atmosfera niektórych magazynów jest nawskroś przesycona i formalnie przeładowana przymusem nagabujących myśli o kupowaniu, wzmocniona porażkami wszystkich ofiar — są to poprostu wyjeżdżone i utorowane duchowe koleiny, prowadzące do wszelkiego rodzaju tandety na sprzedaż. Poczynając od szefa, a kończąc na ostatnim chłopaku od windy, wszyscy są w sklepie

głęboko przekonani i zdecydowani bez pardonu, że klientowi nie wolno wyjść, nic nie kupiwszy. Zgóry przeto szanse sprzedających i kupującego są nierówne, a gdy w dodatku kupujący jest głodny, zmęczony, albo zdyszany lub, co najgorsze, rozłaginiony, to oczywiście wpada odrazu w sieci tych magów handlu, którzy mu wmówią i wpakują wszystko, czego chcą się pozbyć.

Nadomiar złego jest się jeszcze przytem przekonany — i w tem już leży djabelski pierwiastek tej sprawy — że się działa z własnej nieprzymuszonej woli, gdy tymczasem w istocie maszeruje się posłusznie śladem cudzych myśli. Albowiem duch sprzedających jest skoncentrowany na jednej tylko rzeczy: na sprzedawaniu, i to im daje w tym właśnie kierunku moc i władzę. Duch zaś kupującego nie jest ześrodkowany na niczem poszczególnem, i to go czyni słabym. Dlatego kupuje on to, co mu tamci wmówią, i dopiero znalazłszy się w domu i wyzwoliwszy się z pod uroku sprzedających, człowiek stoi oklapły na duchu przed głupstwami, których nakupował.

Któżby miał zresztą sprzedającemu za złe, że tak a nie inaczej postępuje! Sprzedający jest od

tego, aby sprzedał to, co on chce sprzedać, a nie to, co nam jest potrzebne. Naszą jest rzeczą, gdy się stajemy nabywcami, abyśmy po pierwsze, stawali przed sprzedawcą z mniej więcej jasnym wyobrażeniem o tem, co kupić chcemy; po drugie, abyśmy nie byli podówczas w usposobieniu „szusowatem“; a po trzecie, abyśmy już na pół godziny przedtem, zanim ciałem znajdziemy się w sklepie, nie przebywali i nie przerzucali w nim towarów w duchu, jak to musi się często zdarzać wobec tak powszechnej dziś wady pośpiechu i gorączkowości. A wtedy może, wróciwszy do domu, stwierdzimy, żeśmy kupili tylko rzeczy, któreśmy kupić chcieli, a nie te, które nam sprzedać pragnął mag towarów piśmiennych, żelaznych lub łokciowych, a które duch i umysł, po wyjściu ze sklepu znów stawszy się normalnym, uznaje za tak właśnie mało pożądane, pożyteczne i ponętne, jakimi są w istocie.

Że sprzedający czaruje, zaklina towary i wogóle uprawia czarną magję, to, ściśle rzeczy biorąc, jest ostatecznie z jego strony konieczną obroną. Gdyby chciał zamiast tego współczuć, sympatyzować z nami, naraziłby się przez to na nie-

bezpieczeństwo popadnięcia w ten niezdecydowany stan „oklapnięcia“ i braku świadomości celu, w którym my najczęściej w sklepach się znajdujemy, a więc musiałyby nam się poddać i nas naśladować. A przez sympatję do nas stawszy się w ten sposób na chwilę pół-idjotą, mógłby nam z łatwością cały sklep za pół-darmo sprzedać. Cud to doprawdy, że sprzedawcy i sprzedawczynie po sklepach i magazynach w mniejszym lub większym stopniu nie warjują, jeśli wziąć pod uwagę, z jakim bezradnem, zbłąkanem i ogłupiałem, „zbaraniałem“ stadem mają oni od rana do nocy do czynienia,— bo przecież kto w domu warjatów mieszkać musi, ten z natury rzeczy jest narażony na to, że w końcu poniesie przynajmniej częściową jakąś szkodę na umyśle. A dom warjatów i sklep, jeżeli chodzi o zachowanie się ludzi, dla bezstronnego widza wielce do siebie są podobne. Gdybym ja był kupcem, sprzedałbym ludziom ich rodzonego ojca, matkę i całe społeczeństwo do czwartego i piątego pokolenia włącznie, a blaszane zegarki za prawdziwe złote, i to wszystko z najczystsze w świecie sumieniem, gdyby przyszli do mnie w tym swoim grzesz-

nym, nieumiarkowanym stanie uczuć, który wywodzi się z pośpiechu, niezdecydowania i nieokreślonej a wielkiej chciwości, chcącej coś za nic nabyć.

W takim usposobieniu biegać po świecie i zarażać ludzi jest rzeczą niegodną i publicznie szkodliwą, zupełnie tak samo, jak iść pomiędzy dzieci z odrą albo ospą. A ja sam w takim stanie chodziłem po świecie, i grzeszyłem, i krzywdę bliźnim wyrządzałem, i to tyle razy...

IV

MOJE KURY

Chciałbym tu opowiedzieć wszystko, całą resztę moich budowlanych, a i budujących dla ducha doświadczeń. Nie wiem dlaczego, ale czyni mi to bliższymi me własne przeżycia.

Otóż zbudowałem sobie kurnik i hoduję kury. Kurnik kleciłem, bogaty doświadczeniem i umiejętnościami technicznymi, których nabyłem przy budowie domu. To też pod względem planowości konstrukcji, symetrii i wykończenia wypadł znacznie lepiej.

A kury lubiłem od małego dziecka. Rosłem pomiędzy nimi u babki mej, wdowy, która mieszkała sama jedna w starym, bardzo starym domu z całą gromadą kur i kotów, i zarządzała ze spokojem ducha tą szczególniejszą symbiozą chłopca, drobiu i drapieżników.

Była to dziwaczka — cicha, stara kobieta, która nie chodziła nigdy do kościoła, czytywała w niedzielę biblję sama sobie, nie zno-

siła w domu węgla kamiennego, uznając jako materiał opałowy tylko drzewo, nigdy nie widziała kolei żelaznej, nie jechała parostatkiem, nie przyjmowała wizyt, przyrządzała zdumiewające ciasteczka miętowe i codziennie punkt o godzinie dziewiątej wieczorem zjadała sama jedno i jedno mnie dawała, tudzież nienawidziła do szpiku kości starego T..., ekspedytora, który był jej sąsiadem: jego hałaśliwe przedsięwzięcie od rana do nocy słychać było na jej podwórzu, i hałas ten zdawał się do tego podwórza tak samo należeć, jak wypełniające je połamane dyszle, stare siodła, beczułki, skrzynie, wióry, opiłki i przeróżne rupiecie, które, zdało się, sam djabeł po niem porozruczał.

Babka moja nie miała większej przyjemności nad obserwowanie w dni targowe, jak chłopu konie z wozem uciekały, co się zdarzało dosyć często, przyczem osełki masła z pluskiem bac! wpadały do kałuż na drodze, a woźnica, wrzeszcząc „prrrr!“, pędził co siły za rozbieganiami z wozem koźmi i za każdym susem schylał się z pośpiechem, łowiąc masło po kałużach.

A kury swoje babka umiała namawiać, aby niosły jaj więcej, niż wszystkie inne w mieście; była u nas prosto jakaś fabryka jajek.

Dzielnych małych chłopców babka nie znosiła; byłem jednym jedynym z całej rodziny,

którego pragnęła mieć u siebie — wbrew woli i chęci mych rodziców. Ja jednak chętnie u babki przebywałem — miałem u niej więcej swobody i ciastek, no i tyle siniaków, ile tylko zdołałem sobie nabić w popołudniowych bójkach na żarty z chłopakami.

Hersztem tych łobuziaków był „Nigger Hen“, murzyn Henryk, który nami rządził i gdy trzeba było, bił nas, ale miał zawsze więcej gotówki w kieszeni od nas wszystkich razem. Był mym od serca przyjacielem przez całe dzieciństwo, aż do tego pamiętnego dnia, gdy, podbechtany przez złośliwych pracowników mego ojca, namówił Hena, aby pociągnął powietrza z podstępnie wypełnionego mąką wiatraczka dziecinnego. Chmura pyłu mącznego wpadła do ust, nosa, gardła i płuc Hena. I odtąd znać mnie nie chciał!

Z konieczności musiałem zbliżyć się z „Hen Hillem“, czyli z „Henrykiem z Pagórka“. Życie tego chłopca wypełnione było noszeniem wielkiego kosza z mieszkania jego matki do sklepu ojca, który handlował wodą sodową, sokiem i ciastkami. Lubiłem Henryka, bo przechodząc koło nas, pozwalał mi zawsze próbować swych ciastek. Chowaliśmy się w cieniu wielkiej, pustej skrzyni i wynajdywaliśmy nader pomysłowe sposoby nieznacznego zdejm-

wania łyżeczką z ciastek polewy cukrowej, wydłubywania z wnętrza niewielkich rozmiarami — zgodnie z rozsądkiem — porcyjek kremu lub nadzienia i przekazywania ich naszym chłopcę, zawsze gotowym do odbioru apetytom.

Gdy ja zajadałem, Henryk zazwyczaj odpoczywał. Był on zewnętrznie podobny do ciastka, albo przynajmniej lepił się od ciastek; a w miejscach, w których nie był ciastkowaty, sprawiał wrażenie pstrokatego od śmietankowych lodów, z rozkazu matki bowiem kręcił je w piwnicy. I otóż tam mieliśmy też schowaną pewną starą łyżkę, którą podczas krótkich przerw w kręceniu maszyny, próbowaliśmy jej zawartości, gdy ta ze stanu ciekłego przechodziła w stały.

Miejscowa arystokracja, jedząc lody w salonie mister Hillsa, ani nie przypuszczała, czyje to palce przedewszystkiem w nich grzebały. Palce — powiadam; bo gdy czas i okoliczności nagliły, uważaliśmy, że są one jednak od łyżki praktyczniejsze.

Ponieważ mówię właśnie — albo raczej miałem zamiar mówić — o kurach, wydało mi się nie od rzeczy tytułem wstępu opowiedzieć o „Nigger Hen“ i o „Hen Hillu“ („hen“ po angielsku „kura“, a zarazem skrót imienia „Henry“. Przep. tłum.). Jakkolwiek zresztą te rze-

czy się mają, namiętność i talent do hodowania kur odziedziczyłem po mej babce—do dzisiaj jeszcze przechodzi mnie dreszcz, tego samego co ongi podniecenia i radości gdy znajdę w gniazdach tuzin czystych, białutkich, świeżo zniesionych jajek: pod tymwzględem pozostałem dotąd dwunastoletnim chłopcem.

A piękno i wartość życia w tem są właśnie, by tak samo jak dziecko radować się ciągle tem samem co ono i tak jak ono silnie, by łączyć niewiędzące nigdy uciechy dziecięce ze zwołna rozkwitającymi uciechami wieku dojrzałego; rozkoszować się tem, czem się człowiek rozkoszował, gdy ciało miał młodziutkie, pacholące, a więc gdy duch jego, świeżo w nie odziały, raz jeszcze wstępował w życie pełen wiary. W wieku pomiędzy czwartym a czternastym rokiem słońce świeci w glorii, księżyc jest pełen baśni, a trawa tak zielona, jak już nie bywa nigdy, nigdy później... Skąd, czemu to „nigdy“?...

TRUDNOŚCI UMYSŁOWE

Dom mój ma cztery ściany, pochyły dach, dwa wielkie okna od południa, dziurę na drzwi, drugą—na rurę od pieca, i mniej więcej około stu pięćdziesięciu szczelin; z nich większość, przypadkowo lub naumyślnie, ja zrobiłem przy niefortunnych próbach pozbijania, jak się patrzy, końców desek na narożnikach; reszta zrobiła się sama przez pęknięcie i inne nieodpowiedniości świeżutkiego drzewa, z którego dom skleciłem.

Gdy przyszło gorące słońce wiosenne, nie było końca mojemu zdumieniu, co za trzaski, wygięcia i spęknięcia zewsząd powstawać w niem zaczęły. Jęły też oczywiście wyskakiwać ze zbyt świeżego drzewa sęki, pozostawiając po sobie wielkie albo małe dziury, t. zw. „gałęziowe“; tylko czemu u licha nie mogły były tego odrazu powiedzieć?... Na dziurawe miejsca poprzybijałem łąty i w ten sposób opanowałem

sytuację. Nie miałem być przedtem najmniejszego wyobrażenia nawet, aby tyle i tak różnych sił natury czyhało gotowych krzyżować plany ludzkie.

Gdy zamróz wyszedł z ziemi, podłoga moja zaczęła kłębić się jak fale. Przez sympatję dla niej dach i ściany również jęły osiadać, trzaskać, pęcznić — dom skręcał się i zmieniał w jakiegoś „człowieka z gumy“. Szczelinami w podłodze wchodzić zaczęło powietrze. Porozciągałem płótna woskowane. Deszcz zaczął kapać przez szczeliny z góry. Porozciągałem i na dachu takie same płótna — nowiutkie, w pięknych, radosnych kolorach.

Był to doprawdy bardzo wesoły dach, weselszy od całego wnętrza domu—przypominał raglan w kratki, zakrywający stare, odwieczne ubranie, pełne dziur, świadków wielu lat, doświadczeń...

Ludzie śmiali się z mego płóciennego dachu! Mówili: „Czemu nie blacha lub dachówka?“. Dlatego, że płótno woskowane jest o połowę tańsze, a i tak wytrzyma tyle czasu, na ile ja tego dachu potrzebuję.

Lecz ludzie mówili dalej: „To nie jest we zwyczaju“. Cóż, być może, lecz ktoś początek zrobić musi — ja właśnie tym kimś jestem.

Nie było to również zwyczajną ani powszed-

nią rzeczą — Amerykę odkryć. Wszyscy wy się jak ognia boicie najmniejszej rzeczy niezwykłej, a w rok potem wszyscy ją naśladujecie — zwłaszcza wtedy, gdy możecie na niej choćby dwa centy zarobić.

Tego natomiast materiału na budowę, którego najwięcej miałem — czasu — właśnie najmniej zużyłem.

Duch mój stale wyprzedzał mą pracę, zamiast tkwić w niej nawewnątrz.

Uważam, że aby coś zrobić — i to najlepiej, jak się umie — człowiek musi skupić całą siłę ducha, którą rozporządza, niezwłocznie i wyłącznie na tej swojej pracy, choćby nie wiem jak była zwyczajną, pospolitą! Choćby to było proste wbicie gwoźdźcia w ścianę lub napisanie szkicu (o którym, notabene, przypuszcza się, że włosy na głowie ludzkości dębem od niego staną, a tu tymczasem — nie drgnie ani jeden włos).

Pozwalanie na to, aby wola-energja nasza sączyła się obok pracy, którą spełniamy, przypomina kiepskie urządzenia wodne, kiedy to woda, będąca siłą pędną, płynie bez użytku dla roboty boczką, a i żadnej innej pracy również nie wykonywa.

Doszedłem do wniosku: myśli człowieka stanowią w rzeczywistości o sile jego mięśni;

możliwie najdoskonalsza innerwacja jest przy wszelkiej robocie największą oszczędnością. Kto mi nie wierzy, ten niech, proszę, ściągnie tytułem próby choćby najmniejszy żagiel podczas wichury z deszczem na rzece La Placie. W chwili, kiedy w najlepsze zмагаć się będzie z nadętym buntownikiem, aby go jakoś zwinąć; gdy ten, ciężki od deszczu, walić go zacznie po łbie ociekającymi od wody pięściami ze zmoczonego płótna i robić będzie wszystko, na co go stać tylko, byle strącić z masztu w fale tego śmiałka, co go okiełzać pragnie — wtedy niechaj się, proszę, zechce zastanowić, czy jest to czas i miejsce, by sobie jednocześnie przypominać przy tej miłutkiej robótce, co właściwie był on rzekł na pożegnanie owej pięknej pannie, którą przedwczoraj odprowadzał, albo co rzekła ona — lub jakaś inna, nie mniej piękna dama, gdy się z nim witała... lub niechaj może sobie pomarzy z lubością o kolorze i kroju spodni, które w przyszłości ma zamiar sobie zrobić.

Stąd, że przy łatwiejszych do spełnienia zadaniach następstwa jednoczesnego myślenia o czym innym nie są odrazu tak tragiczne, nie wynika bynajmniej, by ich nie było wcale. Najlepszym ćwiczeniem w skupianiu

uwagi jest wbijanie gwoździ, tu bowiem wszelkie zapomnienie się i zamedytowanie o czym innym powoduje natychmiast bolesne uderzenie młotkiem w palec miast w łebek gwoździa.

Cierpiałem nieludzko od obijania sobie kciuka młotkiem, od krzywo, bo w rękę, piłowanych desek, od potykania się i zawadzania o różne przedmioty i t. d., albowiem wskutek grzechu pierworodnego, idącego w parze ze złem przyzwyczajeniem całego życia, duch mój przebywał zawsze w towarzystwie rzeczy, które miałem lub mogłem mieć zamiar robić, nigdy zaś tych, które-m w tej chwili właśnie robił.

Chcąc się uleczyć z tego, chcąc się uwolnić od codziennych cierpień, bazgrałem kopciem z nafty z terpentyną na wszystkich ścianach domu sentencje w rodzaju: „Nie śpiesz się niepotrzebnie!“ „Nigdy dwóch rzeczy naraz nie rób!“ „Wszystko we właściwym czasie!“ i t. p.

I oto czasem nawet w trakcie malowania jakiejś podobnej sentencji zdarzało mi się, że zapomniałem, com właśnie malowałem, jaki to miało sens mieć, poco to malowałem, i... zaczynałem medytować, czy też demokraci dojdą tym razem do rządów — aż jakaś litera zupełnie krzywa z szeregu mi wyłaziła, a sa-

dze z terpentyną powolutku kapać zaczynały na ostatnią parę mych białych jedenastek. Czemu?

Bo zamiast w pędzlu, gdzie było jej właściwe miejsce, siła, której zadaniem było nim kierować, bawiła o setki mil od niego. A bawiąc w Waszyngtonie, jakże mogła spełniać należycie swój obowiązek tu, przy malowaniu?...

VI

CZEM JEST WŁASNOŚĆ

Posiadam tedy — jestem właścicielem tego źle skleconego, pięćdziesięciodolarowego domu wśród moczarów w Jersey.

Bardzo niewiele osób w tak wysokiej mierze posiada swą siedzibę, jak ja posiadam moją. Najczęściej bowiem siedziba ich posiada.

Panuję nad tym domem. Gdy chcę, mogę go podpalić — nie zubożałbym przez to, a sąsiadów nie mam, dla których posiadłości pożar mego domu mógłby stać się groźnym.

Nie mieszkam we wsi żadnej ani w mieście, których mieszkańcy, zaalarmowani przez pożar, mogliby mi się narzucać i naprzykrzać swemi usiłowaniami ugaszenia ognia.

Mogę, gdzie tylko zechcę, powywiercać nawylot dziury w ścianach domu, nie pytając o pozwolenie gospodarza. Gospodarzem ja sam sobie jestem.

Mogę narobić dymu, ile zechcę, zakopcić całą budę — nikomu to w niczem zawadzać nie będzie.

Mogę wstać o północy i zacząć wbijać gwoździe, piłować drzewo, lub w jakiś inny sposób piekielny wszcząć hałas, i przez myśl mi nie przejdzie, że ktokolwiek w domu lub mieszkaniu obok zerwie się przez to ze snu.

Mogę zostawić swe pantofle akurat w tej pozycji, w jakiej je z nóg zdjąłem — jeden wielkim palcem ku północy, drugi ku południowi—i w tydzień później powróciwszy, znajdę je absolutnie tak samo stojące, nie wtknięte dla porządku w żaden kąt najciemniejszy, jak to zazwyczaj bywa.

Mogę sobie pozwolić na zostawienie śmieci na własnym dywanie. Nikt mnie nie zmusza do jadania o określonych porach dnia. Od wizyt jestem wprost gwarantowany. Jakiegokolwiek posiadam wady, tu w moich czterech ścianach obchodzą one tylko mnie jednego i nikogo więcej.

Wejście jest tylko dla mnie. Nie ma nade mną władzy żadna pani domu—nie da mi bury za to, że w salonie jem włoskie orzechy i rzucam skorupy na podłogę.

Mogę ponabijać całe ściany gwoździami wszelkich możliwych formatów, mogę te ściany

pooklejać rycinami albo nawet samemu porobić na nich freski własnego pomysłu i nie mniej własnoręcznego wykonania, a nikt mnie nie zaskarży o odszkodowanie.

Mogę założyć w domu menażerję. Nie doskwierają mi żadne miłe kuchenne zapachy od sąsiadów. Żadne przepisy dla lokatorów domu ani rozporządzenia prześwietnego magistratu nie zazierają mi bez przerwy w oczy z wysokości tablic swoich, ani mi grożą karą za to, że naprzykład fusy od kawy do zlewu spodoba mi się wylać.

Mogę swój pokój zatopić pod wodą, akwarjum z niego zrobić lub basen do pływania i pluskać się w nim, nie drżąc, iż komuś tam woda przez sufit przecieknie i uszkodzony zostanie garniturek mebli w saloniku o pięterko niżej.

Nie trzymam służącego, by spełniał u mnie funkcje szpiega domowego, wymyślał na złe masło, żywił mym kosztem wszystkich swoich krewnych, tłukł ulubione me wazony i łaskawie pozwalał wnosić się nad ranem ze schodów do mieszkania, pijany jak bela.

Lecz w jeszcze wyższym stopniu, niż ja posiadam dom mój, Diogenes był właścicielem swojej beczki, mógł bowiem, kiedy chciał i dokąd chciał, potoczyć ją dalej, gdy mu się w danym miejscu sąsiedztwo nie widziało — uciec

z nią przed powodzią, gdy rzeka wzbierała — w zimie przenieść się z nią na słońce—w lecie w cień: słowem, był pod tym względem jeszcze bogatszy ode mnie.

Bo cóż to jest takiego własność? Czy ma ona oznaczać tylko tyle, że płaci się za coś, czego używanie jest regulowane przez poglądy i zwyczaje innych? Jakżeż niewielu ludzi posiada w tym sensie ubrania, które nosi!

Czy to ja jestem posiadaczem tej pary lakierków, które mnie tak uwierają, że przyszedłszy do domu, natychmiast je zdejmuję; czy też są one tylko środkiem do władania mną, narzędziem tego eleganckiego towarzystwa, które mnie w jarzmie trzyma? Czy istotnie posiadam stojący kołnierzyk, który za każdym poruszeniem głową usiłuje poderżnąć mi gardło; czy też to również tylko jeden ze straszaków „dobrego towarzystwa“?

Czy posiadam wreszcie chociaż samego siebie, czy też jestem tylko karmiony, ubierany i „łożowany“ stosownie do życzeń i kaprysów pewnych osób, których stosunek do mnie i mój do nich wyraża się w dobitnym, a tak smętnie przeze mnie odczuwa-

nym nakazie: takim właśnie być muszę, albo będę niczem!

Niedawno widziałem pewną panią, która wracała do domu ze sprawunkami — dźwigała sześć paczek. Z oczu jej przeglądała troska, a ruch ramion zmęczenie zdradzał, wsiadała do tramwaju, pełna niepokoju, że jakaś paczka może jej wylecieć. Usiadła wreszcie, porozkładała koło siebie paczki i liczyć je zaczęła, czy której nie braknie.

Gdy w drodze chwilę kiedy zapomniała o nich, a wyraz beztroski i zadowolenia nakrótka zagościł na jej twarzy, ze strachem nagle wracała jej świadomość ciężkiego brzemienia, którem obciążona była. Czy miała wszystkie paczki?... Gdzie?... Żadnej nie skradziono? żadna pod ławkę nie spadła? nie stało się z żadną nic z tego, co stanowi zwykły los tylu paczek?...

Przy wysiadaniu z tramwaju, przy przechodzeniu przez ulicę „męka paczek“ trwała. A zawierały one przecież tylko sprawunki okazyjne — źródło tylu kłopotów, które wytrysnęło dla tej zacnej osoby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej subjekta-maga w sklepie konfekcji damskiej.

Zaledwie kupiła te podejrzane rzeczy, zaledwie, jak mniemała, weszła w ich posiadanie, a tu już one zabrały ją jak swoją, w niewolę

zagarnęły, rabą swą uczyniły i tyranizować ją zaczęły.

Był to sobotni wieczór. Nie wątpię, że niektóre z tych paczek w niedzielę nie wypuściły tej pani do kościoła, że jej nie pozwoliły skupić się i pomodlić. Mówię to z całkowitą sympatją dla tej biedaczki, bo i ja sam częstokroć dawałem się usidlać paczkom ze sprawunkami, paczkom drobiazgów w interesach, paczkom urojonych potrzeb, zapożyczonych, nie moich trosk, snobizmów. Co za brzemień kłopotów niosła sobie do domu ta pani w paczkach swoich!

Były tam naprzykład rzeczy do zrobienia, do wykończenia. Lecz szwaczka czy krawcowa nie przyszła na umówiony termin. Kłopot i irytacja. № 1. Gdy przyszła, źle zmierzyła. № 2. Gdy skończyła robotę, postawiła cenę wyższą, niż zazwyczaj. № 3. Trzeba więc było prosić męża o więcej pieniędzy. № 4. Naturalnie, suknia pomimo to nie była gotowa na czas, na wieczorek. № 5... Zmartwienie za zmartwieniem, irytacja za irytacją, kłopot za kłopotem....

Czy ta nieszczęsna osoba wobec tego miała ową suknię, czy suknia ją miała? Czy jakkolwiek suknia może być dość ładna, dość „twarzowa“, aby wynagrodzić tak olbrzymie straty w humorze, czasie, siłach?...

A jakże najczęściej wyglądają dla oczu, które umieją patrzeć, owoce tyłu trudów? Jakże niewymownie smętnie, żałośnie, jak bez stylu?...

Budując dom swój, pozwoliłem kiedyś przez pewien czas deskom, aby mnie posiadały: deski te bowiem nie nadeszły na czas, co mi sprawiło kłopot. Podobnież moje dwie ławki władaly mną przez całe trzy dni, podczas których, zawieruszone przy wyładowywaniu, stały sobie gdzieś tam na jakiejś bocznej linii. Czuję i dzisiaj jeszcze, jak wiele rzeczy koło mnie stara się mnie usidlić. Niech tylko zaczną uwagę moją zbyt do siebie przykuwać, panoszyć się we mnie i rozpierać w mojej świadomości, a czuję grożące mi niebezpieczeństwo.

Co mi kłopot sprawia, to jest moim panem, to mnie posiada. Gdy śpieszę się i haruję, aby kurnik mój stanął na jutro gotowy, kurnik mnie posiada. A gdy nie obchodzi mnie to ani odrobiny, czy kurnik będzie gotów za tydzień czy za miesiąc, ja posiadam kurnik.

Widziałem raz, jak człowiek, którego nieubezpieczony dom się palił, usiadł przed nim i napawał się widokiem morza ognia, rozświetlającego dokoła krąg nocy. Ten człowiek wówczas jeszcze wciąż posiadał dom swój.

VII

RELIGJA W CZYNACH

Przeshkody, które napotykałem przy budowie tudzież prowadzeniu mego „hotelu na jednego gościa“, leżą we mnie, a nie poza mną. „Poza mną“ też tylko ja sam jestem, a przeto spróbuję wstąpić w siebie.

Wszystko według mnie powinno być zawsze zrobione wprzód, nim ja się do tego zabiorę. Ja oznaczam zawsze czas, kiedy coś, mojem zdaniem, powinno nastąpić, i bardzo się niecierpliwię, gdy Pan Bóg upiera się przy swoim terminie wydarzeń.

Dlaczego aż tyle czynności w mem życiu musi odbywać się aż tak nie w porę i tak nie po mej myśli? Dlaczego ubieranie się rano musi być dla mnie połączone z takim pośpiechem i tak uciążliwe? Słyszałem o pewnym Anglosasie, który się zastrzelił, ponieważ nie mógł dłużej znosić codziennego kieratu robienia toalety. Czemuż i ja zmuszony jestem bez

radości włożyć w swoje szatki, niczem do wąskiego i ciemnego lochu?

Czemu palenie w piecu jest tak mozolne? Dlaczego nie potrafię nigdy ułożyć drewek i węgli naprzemian tak starannie, z takim, że się tak wyrażę, nabożeństwem i wkładając w tę pracę choć odrobinę myśli, aby ogień rozpalił się z łatwością i płonął w najlepsze ku pożytkowi memu?

Codziennie drobiazgi (które, nawiasem mówiąc, stanowią dziewięćdziesiąt dziewięć procent naszego życia) dręczą nas tak bardzo, bo my sami źle się do nich odnosimy; stają się więc nieznośne, jak znarowione szkapy lub dzieci bezdomne.

Czyż niema grzesznego tudzież „zbożnego“ sposobu palenia w piecu? Czy istotna religijność pozwala na niedbalstwo? Czyliż religja — a to znaczy światło, łagodność i przystań — nie powinna przenikać każdego aktu życia? Dlaczego marnuję w niecierpliwej złości dwa lub trzy razy tyle sił, ile należy, na wżucie kamaszków, przyczem się zasapię i na długie godziny humor stracę, gdy trochę uwagi i zastanowienia pozwoliłoby mi zgłębić całkowicie prawa, które rządzą światem sznurowadeł, poczem już cała ta sprawa zabawą stałaby się dla mnie? Wyznaczają oto światowe nagrody

za to, by przepędzić piłkę pomiędzy dwoma palikami, przerzucić ją nad siatką, lub wypchnąć z dołka z piaskiem. I cała ludzkość czeka na rezultaty walk tych z zapartym oddechem! Z nabożeństwem traktuje ten cały świat fikcyj! Nagrody konkursowe ogłaszać się powinno na cały świat dla tego, kto wynajdzie najlepszy sposób czyszczenia zębów, najgenialniejsze sznurowadła, aby ta nasza szatańska codzienność żądło swe straciła i stała się dla nas radością i sportem.

Ludzie wyobrażają sobie, że to i tak potrafią! Czemu więc przy najmniejszym pośpiechu wszystko tak im fatalnie idzie? Techniki w rzeczach codziennych, banalnych stanowczo nam braknie.

Rzeczy drobne, nieznaczące są zawsze niebezpieczne. Niewyspanie kosztowało Napoleona przegraną bitwę o tron francuski i władzę nad światem.

Gdyby tylko nie te kamaszki moje rano, jakże mógłbym czuć się podobny do bogów! Te pięciominutowki, które dzień w dzień tracę na walkę z butami, nagromadzając się, dają w końcu niejeden dzień, który mógłbym radośnie spędzić. A wszystko to nie przez co innego, jak przez głupotę, lenistwo i bezbożność. Lenistwo jest źródłem wszelkiego mozołu.

Przyjrzyjcie się tylko państwo, jeśli łaska, ubrani w tym pokoju. Złośliwie porozrzucane — niewłaściwie posegregowane — dwa miejsca na tę samą rzecz albo dwie rzeczy w jednym miejscu (tylko nigdy nie dwie skarpetki razem). Dlaczegoż czasem rano tak nieludzko dużo potrzeba mi czasu, aby być gotowym, choć pocę się z pośpiechu? Bo, myśląc o czym innym, upuściłem spinkę od kołnierzyka do miedniczki od golenia.

Jeden z moich przyjaciół ma na ten przypadek całą wazkę zapasowych spinek na toaletce. Ale jest to droga zgoła niewłaściwa!

Możnaby całą przedziałnię obsłużyć siłą tych koni parowych, które ja już straciłem na poszukiwania „łyżki“ do kładzenia butów!

Zresztą, są to drobiazgi: gorzej, że ta niedbałość duszę nawskroś mi przeniknęła i drugą naturą mą się stała. Nie szanując nic świętego, jak buntownica, występuje ona, gdy węgle w piec kładę, albo gdy wodę nalewam do czajnika. Część węgla do pieca idzie, część pod piec, reszta—gdzieś tam obok... Ta reszta jest największa. A co do czajnika, to woda poczęści leje się do niego, poczęści dokoła, bo upieram się przytem, aby napełnianie pieca lub czajnika odczuwać, jako pracę wysoce uciążliwą, którą byle jak, byle prędzej odbębnić należy.

I w ten oto sposób dopuszczam się grzechu. A grzech, już w tym samym momencie, gdy się rodzi, brzemienny jest karą. Kara ta polega właśnie na cierpieniu, które mi sprawia moja niecierpliwość. A jest to kara z procentem składanym, bo muszę wciąż odrabiać „pozaminutówki”; zbierać rozsypane węgle, ścierać rozlaną wodę, na co bezmyślnie tracę siły, humor — i co w rezultacie jeszcze więcej zajmuje mi czasu.

Poco tu jestem na tej planecie?

Dla szczęścia.

Ślicznie. Ale szczęście przyrzeczono nam, jeżeli Panu swemu wiernie służyć będziem. A czyliż do tej służby bożej nie należą i najdrobniejsze sprawy t. zw. codzienności powszedniego życia.

Naprzeciw mnie na stole znajduje się kilka niezmytych talerzy. Doprawdy czyż mam im dłużej jeszcze pozwalać obrażać w ten sposób mój wzrok brudem swoim? Czyż czystość nie jest rzeczą, podobieństwem bożemu ze wszystkich najbliższą? Lecz do ich zmywania w jakimż mam zabrać się nastroju? Czy tak to byle prędzej robić, byle się pozbyć — przyczem ten brud z talerzy w duszę będę sobie wcierał, jako złość i pośpiech; a w takim razie któż mi wyczyści mój humor? Czy też do tego zmy-

wania talerzy przystąpię z taką samą powagą i przykładać się do niego będę z taką samą starannością, z jakąbym rzeźbił lub malował obraz? Czyż nie ogarnie mnie uczucie zadowolenia, gdy z całą łatwością, pewnością i dokładnością ów obrzydliwy przedmiot zmieni się znów w mój dawny czysty, kochany talerz? I czy to nie jest również aktem modlitewnym, objawem adoracji? Adoracja zaś czy jest cierpieniem czy radością.

I myjąc talerze, służyć można diabłu lub Zbawicielowi. Czy piekło nie tryumfuje, gdy zostawiam naprzykład żółtko przyschnięte do brzegów szklanek, i, za mało ciepłej wody do zmywania używając, bezmyślnie walam potem ścierkę do wycierania, a przez to wszystko rzucam liczne nasiona drobnych nieszczęść na dzień jutrzejszy?

Czemu nie przeznaczyłem żadnego określonego miejsca na przechowywanie szmaty do zmywania? Czemu to samotne, bezdomne i smutne szmacisko zawsze czemuś na zawadzie stoi, po to by, uprzątnięte z drogi, natychmiast czemu innemu znów wejść w drogę? Czemu stała się ona męką oczu moich? Ile razy spojrzę na nią, zmartwieniem mi się staje. Leży, jak mokre brzemie na mej duszy. Czemu?...

Czemu? — Bo grzeszny jestem... Bo lenię się

znaleźć te wolne kilka minut, aby obrać dla niej jakieś stałe miejsce, wygodne i rozsądne. Bo odmawiam włączenia tej szmaty od zmywania do mojej religji, a przecież ta religja świat ma obejmować cały. Bo niesłusznie gardzę rzeczami poziomemi i drobnemi. Bo codziennie wypadam ze stanu łaski i nie oddaję każdemu i wszystkiemu „tego, co jego jest” (obacz wypadek ze szmatą).

No, teraz już wiem zaprawdę, dlaczego jestem najgorszym z grzeszników.

VIII

TROSKI TEGO ŚWIATA

Pomimo wszelkich moich usiłowań „troski i kłopoty tego świata” przedostają się jednak do mojej warowni — do tej reduty, którą własnymi rękoma wybudowałem sobie na moczarach w Jersey. Po większej części — jak to z kłopotami i troskami zwykle bywa — nie są one tego warte, by się zajmować nimi.

Czy mam kazać pokryć mój dach, który przecieka, blachą lub dachówką, czy też mam go sam dalej reparować płótnem woskowanym; czy w pewnym rogu przybić jeszcze kilka listew, i w jakim celu — są to rzeczy dla mnie samego niejasne. Podobnie — jak i to, czy na następne lato mam sobie sprawić zwykłą kuchenkę gazową, czy też może lepiej ładniejszą, niklowaną, za siedem i pół dolara; czy mam zboże zasiać, czy zasadzić kartofle; a jeżeli zboże, to czy lepiej kupić, czy pożyczyć miarkę; kto będzie doglądał mych kur i go-

łębi, czy pojedę do Bostonu; czy będę miał jeszcze dosyć czasu, aby się nie tylko ogolić, lecz i ostrzyć, nim pociąg odejdzie; czy mam jeść na śniadanie chleb przypiekany sam czy też z jajkami; czy dam sobie radę, czy nie dam jej sobie z tysiącem spraw, o których codziennie myśleć trzeba i których doprawdy wstydę się przed obcymi?! Cały ten plebs myśli, te plany, kombinacje, życzenia i kaprysy, troski i przesady — duże i małe, potrzebne i zbyteczne — czasami całym tłumem mnie nachodzą i duszę mi na poziom motłochu ściągają podczas tej półgodzinki, gdy od moczarów brnę na stację, a bóstwo w swej dobroci czyni, co tylko może, aby mnie zająć i rozewać promiennym widokiem wschodu słońca.

Ah! a jakże pomykam w tę stronę i zpowrotem po tej pustej, odludnej, wyjeżdżonej drodze myśli! Od czasu do czasu najeżdżam wciąż odnowa na jakąś jedną, a ciągle tę samą, starą zjełczałą kwestję, troskę lub zły humor, i raczej pozwalam, żeby mnie to całe popólstwo myślowe zanudzało, niżbym miał raz na zawsze pozbyć się energicznie bodajby jednej zbędnej i natrętnej impertynentki-myśli. Jakże wymijające dają odpowiedzi i wypracowuję myślowe wybiegi niezdecydowania, zamiast natychmiast postanowić, co mam przez

cały dzień odrobić. Jak ja sobie samemu przekładam i tłumaczę: „Oh, tam na miejscu w sklepie zobaczę, co mi też przyjdzie na myśl w sprawie tej nowej miotły” — lub — „możliwe, że kupię sobie wiosenne palto, a może go nie kupię” — tej zaś myśli, która pytanie mi zadaje, odpowiadam: „Dobrze, dobrze, proszę znów kiedy zgłosić się do mnie przy okazji”. A w trzy minuty później już ona jest zpowrotem; ja zaś jakże namiętnie i uporczywie oglądam oczyma ducha moje biedne kury, niekarmione, nieoprzątane, zdychające podczas bytności mej w Bostonie!...

Sądzę, że może dusza Marty biblijnej w ten sam sposób pełna była trosk i myśli o posługach. Jest przecież wszystko jedno, o co się człowiek kłopoce, czemu służy: czy chodzi mu o to, aby „do glansu wypucować” starą pokrywkę od garneczka z roku trzydziestego po Chrystusie, czy wyszczotkować surduta z 1900-ego roku tejże ery. Marja nie przez to obrała sobie „lepszą część”, aby obowiązki swoje zaniedbywać miała, ale dlatego, że się nie zgodziła, aby to one ją opanowały i myśli jej na poziom pospółstwa sprowadziły. Ja zaś nie jestem nigdy zabezpieczony od takich najść z ich strony — ze strony

kłopotów i trosk, jak obdarte włoczęgi krążących dokoła.

Wczoraj szedłem do miasta w pogodnym, słonecznym nastroju. Śmiał się do mnie pierwszy dzień prawdziwej wiosny. Wszelkie żywioły wokół były w najłagodniejszym, najmiłym humorze, a ja naśladowałem je w pokorze ducha. Kroczyłem niedbale ulicą Chambers w górę; dałem sobie oczyścić buty pewnemu włoskiemu nowicjuszowi w tym niełatwym fachu; czułem przez chwilę oburzenie w sercu na widok nader mizernego ich połysku po tej operacji, ale natychmiast pożałowałem mej zapalczywości, przywołałem na pomoc łagodność i względność dla tego biedaka, który z trudem i uczciwie, jak mógł, szedł przez życie; wczułem się w jego położenie (zrobiło mi się zaraz lepiej), zapłaciłem mu i poszedłem dalej z każdym kamaszkiem inaczej oczyszczonym; powinszowałem sobie samemu dobrotliwości własnej, wypchałem się tą pychą po dziurki od nosa i przechwalałem się przed samym sobą, co to za delicje, nie człowiek jest ze mnie w porównaniu z tymi wszystkimi twardymi, bezwzględny egoistami dookoła.

Pełni trosk, wątpliwości i kłopotów swoich, mijali mnie ludzie, śpiesząc się, snując w duszy plany, projekty, kombinacje, jak to jest w ich

zwyczaju. Ich twarze skupione, z wyrazem natężenia, ściągały się w twarde węzły finansowe; pędzili co sił w nogach; ich niespokojne myśli przynaglały ciała do coraz to szybszego ruchu; a dusze ich były w niewoli całkowitej u „trosk tego świata“,

I oto rzekłem sobie „w lubem sercu swoim“: „Jakże to dobrze, że nie mam nic wspólnego z tymi grzesznikami. Stoję, dzięki Bogu, po nad wszelkimi tego rodzaju sprawami — mnie już nie oblegną nigdy kłopoty tego świata i w jarzmo swe nie wprzęgną. Jestem zadowolony, szczęśliwy i bogaty tem, że się oto cieszę daną chwilą“.

Lecz niechże ten, co stoi, baczy, by nie upadł!

Wszystko to, oczywiście, było znów nieprawdą. Ja siebie nigdy nie znam. Od czterdziestu dziewięciu lat staram się wprawdzie poznać tego draba, którego we wnętrzu swem noszę — i już niejednokrotnie wydawało mi się, że go nawskroś przenikam, a jednak wkońcu doznawałem zawsze rozczarowania i zawodu! Zawsze jakiś niespodziewany rys mój wychodzi najaw, nowa jakaś wada, albo nawet i stara, lecz w nowem przebraniu.

Czasami mam wrażenie, że w mojej skórze tkwi chyba z tuzin osób, jak łupiny cebuli je-

dna w drugiej, a każde z tych indywiduów ma swe prywatne, osobiste widzi-mi-się, ma swe niewłaściwości, przesady, wady, żądze — i każde oddzielnie domaga się „urlopu“, aby się móc „wyszumieć“, podobnie jak marynarze, co dopominają się o „wolny dzień“ na lądzie.

Zrezygnowałem już z nadziei, że kiedykolwiek poznam tę całą menażerję. W godzinach zaślepienia nazywam to w sobie „bogactwem życia wewnętrznego“.

Pełen spokoju i pogody ducha, mniemając się wywyższonym po nad „kłopoty tego świata“, sądziłem, że nie mam innego przed sobą zadania, jak tylko rozkoszować się wszystkim, co istnieje. Nagle ni z tego ni z owego przyszła mi do głowy myśl, aby pozostałą jeszcze godzinę pobytu mego w mieście obrócić na pójście i zabranie z mego miejskiego mieszkania mahoniowego pulpitu z okuciem, który tam byłem zostawiłem.

Nie wiem dokładnie, co z nim w mej pustelni pocznę. Nie mam dla niego żadnego przeznaczenia w Jersey. W mieście stałby sobie zupełnie spokojnie i bezpiecznie. Z nadejściem zimy będę prawdopodobnie zmuszony przenieść go znów z letniego mieszkania do New-Yorku.

Był to tylko przelotny kaprys z mojej strony, albo ze strony jakiegoś jednego z wielu głupców we mnie.

Kaprys ten, który, jak się wkrótce okazało, wiele miał mi kłopotu sprawić, porwał mnie z nienacka, opętał, usidlił, pognął na stację kolei miejskiej, potem jak szalonego pędził po schodach na górę, by jeszcze pociąg złapać, a na drugim końcu ulicy znów mnie do biegu zmusił. Wplątanego w zbity kłęb innych jeńców życia, przynaglał mię tak skutecznie, że dostał się na czas do pociągu podmiejskiego kolejki południowej.

A gdym się wreszcie znalazł już w swoim pokoju, przekonałem się, że pozostaje mi czasu o pół godziny mniej, niż przypuszczałem, aby zdążyć na pociąg, o godzinie 3 minut 50 idący w stronę mych moczarów.

Nie było to właściwie żadną istotną koniecznością dla mnie, abym musiał pojechać właśnie tym pociągiem, a nie późniejszym; był to po prostu tylko mus mego kaprysu.

I to był jeszcze jeden „kłopot tego świata“.

Nicby nie było straconego, niktby nie został poszkodowany ani nie doznałby zawodu, status quo ante świata nie byłby naruszony, gdybym był wyjechał jednym z wielu pociągów, które odchodziły po 3-ej 50. Lecz pośpiech i nie-

cierpliwość już mnie trzymały w swych szponach!

Miotałem się jak warjat we wszystkie strony i nigdzie nie mogłem znaleźć sznurka do związania; zbiegłem po niego z trzech pięter do najbliższego sklepu; wpadłem znów na górę, stoczyłem oczywiście walkę z broniącym się pulpitem — boksował się ze mną i jak mógł opierał; opakowanie rozluźniało się i rozwijało; inne zaś przedmioty — taki to już los mój — regularnie podstawiały mi nogę w tym całym alarmie i galimatjasie. Podrapałem się do krwi w palce o okucie mosiężne pulpitu, pocitem się zdyszany, kłąłem w duchu, wrzałem z niecierpliwości... Ten nędznik-pulpit nadał się i spęczniał, gdy go obciążałem sznurkiem, a potem schudł nagle i wyślizgnął się z opakowania; wreszcie nadobitkę wszystkiego sznurek pęknął.

W zawałanem ubraniu wywlokłem pulpity z mieszkania i na stację; wdrapałem się na niewłaściwy peron, czekałem dziesięć minut na pociąg, który, jak się okazało, szedł za Harlem, a nie do City Hall; kuksańcami przeto zepchnąłem złośliwy sprzęt ze schodów nadół i znów wydźwignąłem go po schodach wgórę; znowu wyczekiwałem kilka pełnych udręki minut na jakiś inny pociąg, przybyłem na ulicę Cham-

bers pięć minut za późno; aż wreszcie wyczerpany znalazłem się oto bez tchu na peronie osobowym w charakterze pasażera, który ma odjechać ekspresem o godzinie 6 minut 20, a więc z perspektywą dwu długich pustych godzin czekania przed sobą i dwudziestoma funtami pulpitu na sobie.

Stojący niechże baczy, aby zaś nie upadł!

Co do mnie, ja upadłem! Wypadłem ze stanu łaski — uległem pokusie tego świata, i to w dodatku pokusie urojonej, którą sam sobie wyimaginowałem.

Jeszcze na moment przedtem, nim mnie ten chochlik skusił, bogaczem byłem! Bogaczem—przez swą świadomość tego, że nic do roboty nie mam, a czasu przed sobą aż za wiele, aby to nic zrobić. Bogaczem—bo zasobnym w spokój serca i zadowolenie duszy. Nie troszcząc się ani kłopotając o nic, jak tylko o wydarzenia wokół mnie, duch mój płynął z prądem tych właśnie wydarzeń wewnętrznych i zewnętrznych, spokojny, a przecież pulsujący życiem. Czyż to nie stan błogości?

Czyż brat mój w Panu, Jay Gould, o którym większość ludzi tak źle się odzywa przez zwyczajną zazdrość, może doznawać większej niżli ta rozkoszy? Czy miliony w skarbcu zapewniają spokój? Czy zawsze pieniądze i tylko pie-

niądze są przyczyną wszystkich „kłopotów tego świata“? Nie można było grosza złamanego zarobić na tej historii mej z pulpitem, a włożyłem w nią za jakieś conajmniej pięć dolarów siły, ducha i kłopotów!

Kłopoty tego świata obejmują sobą ubrania balowe niegotowe na czas, pióra strusie — i inne — rozfryzowane, pociągi, które odchodzą nam przed nosem — a więc rzeczy i sprawy, nic nie mające wspólnego z zarobkiem lub troską o życie.

Ale cóż to wszystko mnie może obchodzić?! Czyż nie mam dość roboty i dość wolnego czasu, aby móc się oprzeć „troskom i kłopotom tego świata“? A jednak czy z tem wszystkiem nie łapię się codziennie na tem, iż właśnie wtedy gdy jestem przekonany, że najmocniej stoję, tracę równowagę i wypadam oto nagle ze stanu łaski?....

ZA WYSOKIE PÓŁKI

Budując dom swój, rozmyślając nad jego wnętrzem urządzeniem — zwłaszcza że jest to dom jednopokojowy, a ja sam osobiście wszystko w nim sobie robię — musiałem z konieczności stanąć przed zadaniem: tak go urządzić, aby można w nim było sięgnąć po wszystko z minimalnym trudem i w jaknajkrótszym czasie. Człowiekowi bowiem potrzebna jest zawsze wszystka siła, którą dała mu przyroda. Kto oszczędza życia, oszczędza człowieka! Dlaczego za objaw nienormalnego stanu umysłowego uważane jest tylko trwonienie pieniędzy, a nie marnotrawienie sił? Ileż oszczędnych gospodyń musiałyby się wtedy dostać pod kuratelę!

A z niemi i ci wszyscy, którzy poszukują jakiegoś „przepędzenia czasu“! Czas—to coś najdroższego, coś jednorazowego;

spędzać go, zabijać znaczy to jednocześnie zabijać samych siebie!

Siła oznacza możliwość radowania się, uciechy; obchodzić się z nią, jako z monetą do płacenia za drobne czynności życia codziennego, należy tak oględnie, jak oględnie obchodzi się człowiek, będący w obcym kraju, z ostatnią setką dolarów, która mu pozostała.

Gdy wracałem dawniej zmęczony do cywilizowanego mego mieszkania w mieście, musiałem nieraz długo szukać swych pantofli, bo specjalnie za to opłacane osoby wysyłały je raz po raz do tej lub innej, lecz zawsze bardzo odległej szafy.

A przecież w tego rodzaju sprawach o życie chodzi — życie się na nie traci.

Dlatego też obniżyłem wczoraj swoją umywalkę o 19 centymetrów. Chcę bowiem mieć możliwość myć się na siedząco. Chcę to robić gruntownie, zbożnie i w skupieniu — wygodnie, a zarazem nie bez przyjemności. Gdy zaś pragnę ruch mieć, to się gimnastykuję. Ale żebym ja miał stać przed umywalką!... Któż to nam narzucił ten sposób mycia się koniecznie na stojąco? Prawdopodobnie ktoś, komu ta procedura codziennego mycia zdawała się być tylko zabójczą koniecznością, częścią obo-

wiązków ludzkich do odrobienia szybko i bez radości.

Lecz czy to tak być musi? Czy przez kulturę nie można uszlachetniać wszystkich naszych cielesnych potrzeb—odzwierzęcić je, że się tak wyrażę? Czyż pod tym względem nie stoimy dziś wyżej od wszystkich królów zamierzchłej przeszłości? Czemżeż jest przepych i zbytek wszelki w porównaniu ze spokojną godnością odzwierzęcenia ciała w rzeczach codziennej potrzeby!

Uskutecznić to w całości i aż do najdrobniejszych szczegółów u siebie w domu byłoby dobrodziejstwem, przed którym, jak, przed cudem, ludzieby stawali. Odciążenie życia przez dom, tę świątynię wyzwolenia—oto hasło!

Tymczasem przyjrzyjmy się na przykład kuchni w mieszczańskim domu. Całe gospodarstwo zda się być tylko jednym dążeniem ogarnięte: aby przy maksymalnym zużyciu siły osiągnąć minimum rezultatów. Jakże znamienny jest już sam ten fakt, że garneczki, patelnie i wogóle wszystkie utensylja kuchenne przechowywane są zawsze w szafie możliwie najdalej od komina i przytem tak porozmiesz-

czane, iż za każdym razem z tuzin rzeczy przestawić trzeba, zanim natrafi się na to, co nam potrzebne. Inne przedmioty wiszą pod sufitem, a w każdym razie gdzieś tam w górze po za obrębem osiągalności, a na odległość ręki znajduje się zawsze tylko to, o co się można sparzyć lub skaleczyć. Cała działalność kuchenna stylizowana jest na żyrafę — na jakąś istotę o ponadludzkiej możliwości wyciągania lub wyginania członków. (Jeszcze jeden przykład, przemawiający przeciw wyciąganiu wniosków ze znaków i śladów!). Ileż HP (koni parowych) siły dziennie marnuje się wskutek zbyt wysokich półek! *)

Czyście zauważyli, jak rzeczy, które znalazły się w miejscu, przekraczającem długość ramienia ludzkiego, mają uporczywą skłonność do trwania na tem miejscu usque ad infinitum? Czemu? Bo każdy mimowoli cofa się przed niemi, odstraszone zbyt wysoką półką, i uczy się obywać bez nich, a w ten sposób rzecz

*) Przypuszczać wolno nieomal z pewnością, że powyższe wywody Mulforda wielce się przyczyniły do zwyciężającej obecnie coraz bardziej w Stanach Zjednoczonych tendencji ku takiemu urządzaniu kuchni w małych gospodarstwach, aby, usiadłszy pośrodku, można było, nie ruszając się z miejsca, ugotować cały obiad. Przep. Tłum.

taka zostaje usunięta z jego życia zupełnie tak samo, jak z obrębu jego osiągalności.

Tysiące rzeczy, których ludzie skądinąd potrzebują, o które się kłopotą, których szukają często i dziwią się, kto im mógł je zabrać lub gdzie im się zadziały — te rzeczy leżą sobie oto spokojnie i porastają kurzem na zbyt wysokich półkach.

Czyście zauważyli, jak natrętny staje się w sypialni lub kuchni taki przedmiot, z którym narazie nie wiecie, co począć, na który nie macie miejsca i który zawsze tam się właśnie poniewiera, gdzie wam przeszkadza? Może to być książka, pusty kosz do papierów, albo kosztowny gracik, nabyty w drogim sklepie, jakiś kielich Graala lub coś w tym rodzaju. Stoi on zawsze na jakiejś innej rzeczy właśnie wtedy, gdy tej rzeczy potrzebujemy. Zdejmujemy go więc i stawiamy na czymś innym... czego właśnie w pięć minut potem będziemy potrzebowali. Taki dręczący nas przedmiot potrafi z bardzo wielką zręcznością pozostawać jakgdyby zgoła nam nieznanym, istnieje — że tak powiem — incognito: z trudnością zdajemy sobie sprawę z tego, co to właściwie tak nam ciągle w drogę wchodzi, zawadza i dokucza. A to właśnie ten przedmiot tułacz, wiecznie

z miejsca na miejsce przenoszony, bo wszędzie zbyteczny.

Gdy jest to taki przedmiot, który się wieszka, to wisi on zawsze, jak na złość, na dwóch, trzech innych — naprzykład ubraniach — lub jeszcze częściej paltach, bo tych się napewno częściej potrzebuje. A potem rrrmss!... jak meteor spada z hukiem, gdy się chce palto zręcznie z pod niego wyciągnąć. Aż wreszcie traci się kiedyś cierpliwość i ciska się nim na wysoką półkę — a na następny tydzień, gdy się go potrzebuje, wydziwić się nie można, że znikł tak tajemniczo, wpadł jak kamień w wodę.

I to ma się nazywać życie! dwie trzecie życia tem mamy zajęte! A wszystko dlatego, że rzeczy, znajdujące się w danej przestrzeni, nie posiadają każda swego własnego prywatnego miejsca. Każde mieszkanie powinno się właściwie rozpadać na podmieszkanka, przeznaczone również i dla nieożywionych mieszkańców jego; należy przewidywać „pokoje słuźbowe“ również i dla rzeczy, tak aby żadnych rzeczy „bezdomych“ nie posiadać.

Szanowny czytelniku tych stronic, jesteś może wielkim mężem stanu, badaczem, uczonym, albo czemś innem wielkiem, lub przynajmniej przypuszczasz, że jesteś czemś niezwykłym. I odnosisz wrażenie, że książka moja jest dzie-

cinna, a wszystko co w niej mówię, to coś banalnego czy nawet trywjalnego. O takich rzeczach przecież nie piszę się książek! A ty — ty jesteś wzniosły! Ale, czcudogny panie, przecież i ty wiesz chyba, że, czemkolwiek jesteś, godziny, a może nawet całe dni tracisz na to, aby upolować wreszcie własny swój scyzoryk lub ołówek; szukasz go naprzód w prawej kieszeni od spodni, potem w lewej ← następnie po przez liczne kieszenie w kamizelce pomykasz wzdłuż surduta albo marynarki — znów do kieszeni w spodniach — z początku do prawej — to znowu do lewej; a dzieje się to zawsze w jakiejś bardzo ważnej okoliczności życia, gdy ołówek niezmiernie ci jest potrzebny. I całą moc i siłę potężnej umysłowości swojej obracasz — broń Boże! nie na dzieło, które ma wstrząsnąć światem, ale na skrzywiony grymas zdumionego przemyśliwania na tem, gdzie też u wszystkich świętych! mógł się podziąć ołówek twój albo binokle, które się w chwilę potem znajdują najspokojniej — gdy już ich nie potrzeba, gdy wielka chwila już minęła — pod arkusikiem papieru na biurku...

X

WSZYSTKO NA SWOJEM MIEJSCU

Jedną z największych trudności sprawia mi przeprowadzenie całkowite i bezwzględne w mym domu zasady „wszystko na swoim miejscu“. Grozi mi niebezpieczeństwo posiadania częstokroć dwóch, trzech i aż do tuzina miejsc na jakiś jeden przedmiot. Pod tym względem w mem państwie osiągnąłem dopiero bardzo niewielką władzę, a przecież to państwo to tylko jeden pokój, przeze mnie samego i dla mnie samego zbudowany i urządzony.

Często wyznaczam rzeczom miejsca i zapominam jakie. Wieszam naprzykład brytwankę na sześciu rozmaitych gwoździach. Albo znów innym razem przynoszę do domu rzeczy, które mają mi być pomocne w gospodarstwie, i pozwalam im się gdzieniebądź poniewierać. Filiżanka, łyżka, szmatka lub butelka bez stałego miejsca zamieszkania, mogą być pewny, iż będzie wciąż bruździła innym porządnym i przy-

kładnym rzeczom, iż będzie się znajdowała w stanie chronicznego buntu przeciw spokojnemu pożyciu domowemu.

Im więcej takich rzeczy koczowniczych, tem bardziej zażarta wojna — i tem więcej kosztuje trudu stłumienie takiej rewolucji. Jest u mnie naprzykład pewna łyżka do gotowania — notabene żelazna. Pomiedzy nami panuje już od tygodnia bez przerwy stan wojny podjazdowej. Już conajmniej z pół tuzina razy wyznaczałem tej łyżce miejsce pobytu i znów zapominałem, na jakim gwoździu mam ją wieszać. Wynik: wisi na wszystkich gwoździach — ten kulinarny Izmael — albo leży na wszystkich miejscach pokolei. Niema też ona właściwie nic do roboty u mnie — potera się po domu, poprostu „włóczy” się i jest do niczego.

W tej samej sytuacji znajduje się pewien pusty szklany kubek — bez miejsca, zbuntowany. Nie przydzieliłem mu odrazu żadnej określonej roli, więc włóczy się po domu bezcelowo i przeszkadza porządny i spokojny kubkom, które posiadają cel przed sobą i obowiązki do spełnienia i naturalnie pragną, aby im dawać spokój.

W najgłębszem podłożu tego zła leży moja skłonność do kupowania wszelkich możliwych i niemożliwych rzeczy, do kolekcjonowania

ich, chociaż nie wiem, co z nimi pocznę później, kiedy mnie już ominie chwilowa gorączka i radość nabywcy. Mam mianowicie doskonałe i bardzo bystre oczy. Zawsze, gdy jestem w mieście, widzę bez przerwy rzeczy, o których mówię sobie: „To byłoby dobrze mieć“. Może to być naprzykład jakaś wanna gumowa, jakiś stół, filiżanka, czajnik — wszystko — co bądź wogóle oraz w szczególności.

„Dobrze byłoby mieć...“. Hm, dobrze... Ale do czego dobrze; tego właśnie nie wiem. W to nie lubię nawet wnikać — nie dowierzam sobie. W takich razach schodzę zazwyczaj z drogi memu bardziej oględnemu i rozumnemu „ja“, omijam je, unikam go starannie. Gdy tylko zobaczę, że się do mnie zbliża, zmiatam za najbliższy róg! Chcę bowiem posiadać to „coś“ właśnie dla samej przyjemności posiadania. Chcę „posiadania“ właśnie, a nie rzeczy. Jest to poprostu instynkt do nagromadzania. Może byłem ongi, w innem wcieleniu, sroką i rozkoszowałem się kupą starych kości, gałganów i nawozu.

Szczęśliwy, żem przeparł swoją wolę przeciw zdaniu innych, rozsądnych istot we mnie (które zresztą w takich razach bardzo niechętnie za swoje „ja“ uznają), wlokę swój skarb do domu. I teraz oto zaczyna się tragedia. „Skarb“ chce,

by się nim opiekować — chce mieć swoje miejsce, dozór i pielęgnację — chce, aby kurz zeń ścierać... Bo mógłby się stłuc, zepsuć i o ból przyprowadzić duszę moją. Tak albo inaczej, ale żąda, abym zwracał nań uwagę; domaga się części mego ducha, mej siły życiowej — jak pasorzyt, wżera się w miąższ mojej istoty — ssie ze mnie soki do końca dni moich. Tego rodzaju nabytek, przez kaprys do domu sprowadzony, natychmiast wyrodnieje, staje się wręcz zarazą. Trzeba go w każdym razie odosobnić, zamknąć i unieszkodliwić. „Więzienia“ dla takich rzeczy nie na czasie i nie na swem miejscu znajdują się w każdym niemal domu w dowolnej ilości pod postacią piwnic, strychów lub schowków na rupiecie, gdzie wszelkie rodzaje „przestępców“, od kulejących stołków i wyszczerbionych, nieodbijających luster aż do pękniętych jajeczników, pędzą żywot w zapomnieniu.

Stos podobnych „wyrzutków“ leży w mym pokoju w kącie. Jest tam pewien kosz nie do użytku, wielkie cynowe puzderko, także małe, pokrywka bez garnuszka. Do tych buntowników przyłączyła się cebula wraz z dwoma kartoflami, które to zamarzną, to znowu odtają — no i pewien abażur, który starannie przechowuję aż do dnia, gdy w moc przeznaczonego

mu od Boga powinowactwa predestynowana, tych samych co on rozmiarów lampa, kiedyś się z nim wreszcie niechybnie skojarzy.

W szczelinach tego stosu gnieźdzą się różne gwoździe, kawałki szpagatu i tym podobne „rzeczy”. Ilekroć wzrok mój padnie na ten stos, tylekroć coś się obrywa we mnie. Leży on nie tylko w rogu pokoju, ale i w mej duszy. I ciężko ją przygniata — zajmuje w niej dużo miejsca, które odbiera innym światlejszym i większej miary myślom.

To samo robią koczownicze łyżki, kubki, filiżanki... Pożytecznie byłoby poprostu je zniszczyć. Jeśli o rzeczy chodzi, jestem za karą śmierci.

Mam naprzykład pewien kufer, pełny starych ubrań... Lecz nie — niestety, niezupełnie jeszcze starych — tak coś *entre deux âges*. Po co je przechowuję? Przez oszczędność — aby, jak się to mówi, jeszcze je doniszczyć. Lecz tymczasem to one mnie niszczą, zjadają, trują... Dwa-trzy razy na tydzień odwiedzam ten kufer, by w nim poszukać czegoś, o czym nie jestem pewny, czy w nim jest czy nie jest. Na przekładanie i przeszukiwanie tych starych ubrań tracę niemało sił i czasu. Czy są tego warte?

Podnoszę i wydaję tę samą parę starych

spodni przynajmniej dwadzieścia pięć razy do roku, aby je potem znowu do kufra zapakować. Podobnie — kamizelkę, hełm podzwrotnikowy, którego od lat czterech już nie miałem na głowie ani razu i może nigdy w życiu więcej go nie włożę. Ditto — trzy, cztery jakieś marynarki, bielizna dolna mocno wątpliwej konsystencji...

Z biegiem czasu, kiedy już dobrze tem wszystkim się zmęczę, rzecz cała skończy się zapewne na tem, że w pojedynkę — „kroplami“ — wyrzucę marynarki. Albo w odpowiednio długich odstępach czasu będę uchylał szparkę w mojem skąpem sercu i... podaruję może mój hełm tropikalny jakiemuś żebrakowi, który „spuści“ go na sznapsa, gdy ja tymczasem będę krzepił się na duchu i nieomal buzi sobie pośle za mą wspaniałomyślność, że tak oto rozporządziłem się moją własnością, która mi ciążyła. Albo wezmę do siebie handlarza starzyzny i jego targowanie się i „chanryczenie“ tak mi zapowietrzą ten kawałek przestrzeni w czterech ścianach z drzewa, które poto sobie własnymi rękoma zbudowałem, aby był mój i czysty, że najlepiejbym zrobił, abym mu po tym targu wraz ze starem ubraniem na dodatek i cały dom odstąpił.

Czy nie wyszedłbym na tem o wiele lepiej,

gdybym dziś, natychmiast rozdarował lub zniszczył to wszystko, z czym nie wiem ani nawet wymyślić nie mogę, co zrobić? Czy bym w ten sposób nie ulżył zarówno swojej świadomości, jak kufrowi? A gdy się raz gruntowanie to miejsce oczyści i uwolni, to może pojawią się tam bardziej wartościowe rzeczy.

Morał, który stąd — lecz zresztą tylko dla siebie wywodzę, brzmi (jestem za moralnością domowego, własnego wyrobu, a nie nabywaną z fabryk wyznaniowych): nie mieć nigdy na oczach więcej rzeczy, niż przypuszczalnie będzie się potrzebowało w ciągu najbliższych dwóch tygodni (wyjąwszy dzieła sztuki)!

Lecz czy nauka moralna ma na tem już przestać? Ileż nieużytecznych odpadków dat, ileż rozpadających się przekonań, ileż faktów, zdarzeń błąka się po mej głowie, a nie wiem zupełnie, na co by je zużyć!

Czyż, chcąc uchodzić za mądrego, mam już dziś gromadzić w swojej świadomości zapatrywania, poglądy i fakty, które może jutro fałszywe się okażą? Jak drobną cząstkę z chaotycznego zbiorowiska tego wszystkiego, co zwie się „wykształceniem“, jest rzeczą pożądaną zachować w pamięci! Czy wszystkich tych „danych“ i „faktów“ nie powinniśmy tak z siebie wydzielić, jak „substancje zmęczenie

powodujące“ z mięśni? Zasadniczą rzeczą jest tylko to, by mięsień — ruchliwy był i giętki.

Dlaczego nie wyklada się i nie uczy raczej sztuki zapominania, miast tego, by pozwalać wiadomościom, wszelkiej wartości pozbawionym, poprostu przelatywać przez mózg bez wszelkich śladów? Czy dusza nasza nie jest wręcz pokryta bliznami powstałymi przez to, że musieliśmy brutalnie wyrywać z myśli rzeczy, o których przekonaliśmy się, że są szkodliwe dla życia? A wszak tam, gdzie są blizny, tępieje uczucie.

Cóż mi przyjdzie z tego, że będę znał nazwy wszystkich rzek na ziemi i długość ich pamiętał — i wododziały, i wszystkie jeziora, i stawy, i baseny, i prawo rzymskie, i dynastje chińskie, i kiedy Sycylja przeszła pod panowanie domu Andegaweńskiego — i że mieć będę w głowie na podorędziu w każdej chwili to wszystko, co zwie się „wiedzą aktualną“? Poco człowiek sam ma to robić, co może uczynić za niego każdy słownik i encyklopedia — przyczem te książki mają jeszcze w dodatku i tę dobrą stronę, że można je przecież zamknąć w każdej chwili, gdy ma się ich dosyć.

Nigdy nie robić nic takiego, co kto inny może zrobić za nas. Całą siłę gromadzić i obracać na to, co tylko my jedni

robić potrafimy. Z jakiej racji człowiek ma dążyć do osiągnięcia rezultatów jakiegoś memorandum, kursbuchu albo podręcznika?

Czyście zauważyli, że ludzie, którzy wiedzą od a do zet wszystko — i skąd co pochodzi, i w jaki sposób trwa, i dokąd zmierza — że te mitraljezy mądrości, co to za najlżejszem dotknięciem prażą otoczenie huraganowym ogniem wiadomości i pouczeń, najczęściej zajmują w życiu zgoła podrzędne stanowiska? Zbytek wiedzy tak im na mózg uderza i taki powoduje ucisk, że brak im wprost energii na użytek codzienny, na chwilę bieżącą, która domaga się wysiłku, na to cudowne „teraz“ — tak że w momencie decydującym sprawiają oni zawód i sobie i innym.

Czy naprawdę potrzeba uczyć się tylu rzeczy naprzód, na wszelkie możliwe i niemożliwe w życiu sytuacje i wypadki? Gdybym posiadał kiedy konia i ten koń mi zachorował, czy nie miałbym dość czasu na to, aby dopiero wtedy się dowiedzieć, gdzie mieszka weterynarz. Ale że teraz oto konia jeszcze nie mam, a koń, którego nie posiadam, może właśnie wcale nie zachoruje, to chociaż nie wiem, gdzie weterynarz mieszka, nie pragnę się trudzić dowiadrywaniem tego, ani dowiedziawszy się, później

suszyć sobie głowę przypominaniem zapamiętywanego i zapominanego jego adresu.

Widziałem przecież nieraz na własne oczy tych krzepkich, jak dziczki wyrosłych młodych mężczyzn, którzy nie posiadali żadnego „wyszktałenia“ w zwykłym filisterskim znaczeniu tego słowa i ze wzruszającym szacunkiem spoglądali na każdego dudka, który znał jakieś cytaty łacińskie; a jednak zawierali oni kontrakty i podpisywawszy umowy, budowali wielkie drogi po przez góry, a wszystkich tych potężnych rzeczy, których się podjęli, święcie dokonywali. I trzeba było widzieć, jak zaoopatrywali oni w żywność tysiące ludzi i jak umiejętnie posługiwali się mózgownicami dyplomowanych inżynierów! A gdy im potrzeba było jakiegoś faktu, narzędzia albo specjalisty, to szli wprost do źródła, brali rzecz żądaną, zapewniali sobie jej istotne posiadanie, robili z niej właściwy użytek i rozstawali się z nią.

Nie potrzebuję dwóch teorji do jednej rzeczy—ani dwóch pokrywek do jednego garneczka. Nie mogę też nosić trzech par spodni naraz, jakkolwiek pożyteczna to część garderoby.

Czy mam bez końca dosztukowywać u siebie rury od pieca do rur od pieca—Ossę na Peljon piętrzyć, z tej jedynie racji, że rury od

pieca są rzeczą bezsprzecznie pożyteczną? Ileż z młodzieńczych mych mądrości szkolnych było takimi właśnie bez końca rurami od pieca! Czy istotnie przydała mi się na co ta wiadomość, że Kolumb odkrył Amerykę nie kiedyindziej, ale akurat w roku 1492-im? Czy mnie to zrobiło szlachetniejszym? Czy mnie wywyższyło w hierarchji społecznej? Czy pogłębiło mą siłę myślową? Uczyniło mię uczciwszym, moralniejszym? Umocniło mię może w mem poczuciu człowieczeństwa? Wlało we mnie otuchę albo radość życia? Zwiększyło mą zdolność kredytową choć o dziesięć centów?

Czyż było to, koniec końców, czem innym, czem więcej, niż tylko zbędnym kawałkiem historycznej rury od pieca, której utrzymywanie w stanie należywym przez całe życie było dla mnie przez całe życie tylko uciążliwym trudem? Ile też jeszcze tysięcy lat — przypuściwszy, że ziemia będzie tak długo trwała — dzieci będą musiały uczyć się i uczyć, że w roku 1492-im Kolumb Amerykę odkrył — w ty-siąc-cz-te-ry-sta-dzie-więć-dzie-sią-tym-dru-gim?... Notabene później zwiedziałem się przecież, że i ten kawałek rury uszczelniony nie był! To nie Kolumb pierwszy Amerykę odkrył. Czytałem, że na wiele stuleci przed nim zrobili to Normannowie; a zresztą jeszcze dawniej, niż

oni, przeprawiano się przez cieśninę Behringa do Alaski... tak iż może kiedyś niezadługo się dowiemy, że najpierwszymi Amerykanami byli wogóle... Egipcjanie!

Od czasu do czasu bardzo chętnie się bawię takimi teorjami, podobnie jak ten żongler, co to dla samego sportu balansuje setką metrów rury od pieca na nosie. Ale broń Boże! nie godzę się na to, aby coś podobnego, gdy zechcę uchodzić za człowieka naprawdę kulturalnego, miało stać się dla mnie obowiązkiem, bym miał co roku w panicznym przerażeniu biegać do historii sprawdzać, czy to istotnie jaszce Kolumb, a nie kto inny, w 1492 roku Amerykę odkrył... i czy to naprawdę wciąż jeszcze się trzyma ten sam rok 1492!

Wydaje mi się rzeczą niewypowiedzianie niesmaczną, abym miał być obowiązany przez całe życie nosić wypalone na mózgu te cztery cyfry w tym właśnie porządku, podobnie jak jakaś sztuka bydła nosi swój znak, wypalony na przeciwległej mózgowi części ciała. Wyształcenie wydaje mi się bardzo często tylko systematycznym gromadzeniem wielu przykrywek do jednego garneczka — wielu rączek do jednej miotły — i kilometrowej długości zapasowych rur do pieca!

Czyż umysł jest jakimś koszem do papierów

jakaś rupieciarnią, graciarnią, strychem, wiecz-
nie zapchanym wszelkimi sprzętami, co do
których inni, niż ja, uważają za właściwe, aby
tam jedne na drugie się pchały? Czy nie po-
winien on być raczej, jak zwierciadło, które
wykształcenie ma czyścić, przecierać, aby wciąż
wyraźniej odbijało ono wszystko, co istnieje.

Czyż życie nasze ma ciągle, tak jak dotąd,
na dwie rozpadać się połowy, w których pierw-
sza zajęta jest napychaniem mózgu, druga —
wyrzucaniem z niego, a żadna radości nie zna?...

XI

SPRZECZKA Z PEWNEM DRZEWEM

Jakieś pół godzinki roboty, nie więcej, wy-
dawało mi się, że mnie kosztować będzie
umocowanie kilku drewnianych domków dla
szpaków wśród gałęzi wspaniałego dębu, który
mój dom ocienia.

Dąb ten stanowi chlubę mojej posiadłości.
Jest prosty, symetryczny, jak na dąb, bardzo
lekki i strzelisty; znajduje się u szczytu sił
i zdrowia; jest jak świątynia, wzniesiona rękami
nieziemskimi, cudowniejszy od wszystkich
pałaców; a według oceny moich bliźnich —
znakomity na opał albo podkłady kolejowe.

Wszelako, gdym się zajął założeniem gniazd
na nim, doszedłem do wniosku, że w konarach
jego przewrotność zamieszkała.

Albo może to tylko z jego strony życzenie,
aby mu w niczem nie przeszkadzało — a więc
rys silnego charakteru i wybitnej indywidual-

ności, jednakowy w mężczyznach, kobietach czy dębach.

Domki dla szpaków pragnąłem umieścić mniej więcej na wysokości dwudziestu stóp nad ziemią. Oparłem drabinę o pień drzewa. Dąb stanowczo odmawiał zezwolenia na to, aby się o jego podstawę marna drabina wspierała. W jakikolwiek sposób obracałem ją i przystawiałem, zawsze odskakiwała od maleńkich, lecz twardych gałązek, prawie jak od stalowych, odpychających sprężyn. Zwalczały drabinę z całą stanowczością i odpierały zwycięsko wszelki atak zbliska.

Usiłowałem wkręcić drabinę kontrabandą pomiędzy te uparte, jak koziołki, a drobne gałązki. Z całą inteligencją oparły się najchytrzejszej nawet taktyce z mej strony.

Gdy jeden bok drabiny jakoś tam się wślizgnął, udawało się zawsze tej czy innej gałązce wielkości kociego pazurka drugi bok wlot zatrzymać. Przez cały ten czas zmagam ja — ruchomy motor ludzki, u stóp drabiny działający — zmarnowałem wiele sił na te daremne próby. Była to bowiem staroświecka i bardzo ciężka drabina malarska.

W końcu doszedłem do przekonania, że te gałęzie, trudno, trzeba odpiłować.

Z ziemi dostać ich nie mogłem, a z drugiej

strony z drabiny, oparłszy ją o nie, też nie sposób było ich piłować, wtedy bowiem niejako sam siebie byłbym podciął.

Niepodobieństwem okazało się również pobocinanie gałązek tych siekierą, bo nie miałem gdzie stanąć i wesprzeć się dość silnie na nogach, aby móc zadawać im skuteczne ciosy.

Uciekłem się ostatecznie do piłki ręcznej. Stojąc na innej mojej, małej, rozkraczonej drabince, mniemałem, że zdołam poodpiłowywać uparte gałęzie.

Ustawić drabinkę dość blisko drzewa okazało się zadaniem nieprzewidzianie trudnym, bo grunt był potem zbyt nierówny i trzeba go było dopiero zniwelować, aby mógł on stać się dość gęwną podstawą do tej operacji.

I wtedy nagle uświadomiło mi się, że jestem jeszcze o dobry szmat drogi oddalony od chwili, gdy domki te założę. Zaczęło mi się zdawać, że każdy krok ku temu, jakkolwiek konieczny i z samej natury mego celu wynikający, odwodzi mnie od niego coraz dalej — przybicie domków zniknęło w perspektywie nieznannej przyszłości.

Zaczęło się od usiłowań oparcia drabiny o pień dębu. Upór owych gałązek na nieprzewyciężonej stanął mi tu przeszkodzie. Dałem więc gałęziom spokój i oto znalazłem się

teraz ze szpadlem i szuflą w rękę, zajęty kopaniem i równaniem gruntu.

Myślałem sobie: „Ciekawy też jestem, jak daleko jeszcze będę musiał odejść od moich domków, aby dojść w końcu do nich”.

Czy i to zajęcie jest z rodzaju tych, co to nas kuszą w życiu udaną swą prostotą, a maskując się zręcznie, wyglądają na robotę do ukończenia w ciągu jednego dnia, aby nas potem kosztować lata pracy i mokołu?

Jakkolwiek zresztą te rzeczy się miały, sprawa sprowadzała się ostatecznie do pojedynku między mną a tym oto—właściwie raczej sympatycznym, niż niesympatycznym gentlemanem—dębem. Odłożę przeto na bok—mówiłem sobie—wszelki pośpiech, gniew i zniecierpliwienie, zobaczę poprostu, kto z nas dwóch weźmie górę. Prosta linja powietrzna pomiędzy mną a mem zadaniem okazała się złudzeniem; wypada mi oto walczyć pierś o pierś, krok za krokiem.

Drabinka rozkraczna sympatyzowała z dębem i zgoła nierozsądnie grymasiła, różne pod względem gruntu robiąc mi trudności; chybotła się i chwiała, gdy tylko stanąłem na niej, to wprawo, to wlewo, a to znów nagle w ja-

kąs zupełnie inną stronę, w sposób całkiem bezradny i jakiś zgrzybiały, kiedy tymczasem w domu potrafi stać zupełnie pewnie i zachowywać się spokojnie i z zadowoleniem.

Cała ta historia z ustawianiem nóg od drabinki była prosto klasycznym przykładem tego, co jeden z mych przyjaciół nazywa „absolutnym bezwstydem rzeczy nieożywionych“!

Wreszcie udało mi się jakoś wdrapać na drabinkę i zacząłem dokonywać piłąk operacji na gałęzi № 1.

Ponieważ gałąź była zielona i soczysta, piłąka rżnąc jakby przyklejała się do niej, nieustannie utykając i zacinając się uparcie.

Stałem na najwyższym stopniu drabinki, a więc chwiejnie i niepewnie.

Piłowałem wprawdzie, ale jednocześnie zaprzętała mię troska o ewentualne złamanie nogi lub skręcenie karku; to zaś drażniło mię i denerwowało aż do wyczerpania.

Następna gałąź № 2 wymagała przeniesienia drabiny w inne miejsce i nowego niwelowania gruntu.

To samo było z gałęzią № 3.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy te trzy gałęzie odcięte spoczęły już na ziemi, ja zdążyłem nieomal doszczętnie zapomnieć o początkowym celu całego tego mego przedsię-

wzięcia — zdumiewałem się raczej od czasu do czasu, poco ja właściwie trudzę się nad tem wszystkim.

Aż wreszcie gałęzie zostały usunięte — droga była otwarta. Podniosłem ciężką drabinę, przysunąłem ją do drzewa — z całą pewnością siebie oparła się o nie. Wtedy trzymając jeden z domków w ręce, wszedłem na nią do dwu trzecich wysokości. Usłyszałem, jak coś podemną podejrzanie zatrzeszczało, a obejrawszy się, ujrzałem, że lewy bok drabiny pękł po przekątnej od góry do dołu i spoglądał ku mnie otwartą szczeliną. Mój kark był w większem niebezpieczeństwie, niż kiedykolwiek przedtem.

Szybko, choć ostrożnie zlazłem znowu nadół.

Teraz nie pozostawało mi nic innego, jak zreparować drabinę. A założenie gniazd dla szpaków zapadało w coraz głębszy mrok oddali.

Rzekłem do siebie: „Ciekawa rzecz, dokąd też mnie jeszcze ten zamiar zaprowadzi — ostatecznie nie wydaje mi się to żadną znów tak wielką zuchwałością chcieć mieć szpaki koło domu. Przybić na dębie kilka drewnianych gniazd-domków czyż to coś tak zdroźnego? Czy za to teraz domki przygwożdżą mnie do siebie i każą mi się męczyć aż do skończenia świata?”

Czegóż ja tu jeszcze nie będę musiał robić!

Może te domki zmuszą mnie do zreparowania przede wszystkim mego kurnika — a może każą mi wrocić do miasta — albo kto wie, czy mnie nie zaprowadzą znów aż do Europy? A koniec końców wpadnę może w ręce bandy dzikich adwokatów — dzięki rozwojowi jakichś okoliczności ubocznych — jakiemuś postronemu posunięciu — czemuś pośredniemu, co się wyłoni ze sprawy tych domków-gniazd dla szpaków. Już teraz oto sprawa ta kosztuje mnie półczwartej godziny pracy zamiast przeznaczonych na nią w pierwotnym zamiarze trzydziestu minut“.

„Lecz oto duch walki już wstąpił we mnie. Jestem na wszystko gotów! Chcę niepodzielnie poświęcić się osiągnięciu zamierzonego celu, służąc mu z całych sił moich i wedle najlepszej mej wiedzy i woli. Stało się to punktem honoru dla mnie. W porównaniu z tem same te domki czy gniazda niech sobie licho porwie. O mój ambit chodzi!“.

Starannie naprawiłem drabinę, obiwszy ją od zewnątrz i od wewnątrz listwami z metalu — i ustawiłem ją wreszcie na pozycji.

I oto znowu wdrapałem się na nią — z domkiem dla szpaka w ręku.

Gdym się już znalazł na najwyższym stopniu, przekonałem się, że jest niepodobieństwem do-

stać się w ten sposób z domkiem w rękach aż na samo miejsce, gdzie go należało przybić. Zszedłem więc znów nadół, położyłem domek na ziemi, wlałem nanowo na najwyższy szczebel i zacząłem stamtąd drapać się dalej na czworakach.

Lecz napotkałem przytem na jeszcze więcej przeszkód. Całe jakieś konary przybywały zdaleka, aby mi zagrozić drogę — gałęzie usiłowały wydrapać mi oczy! Okruchy suchej kory spadały wciąż zgóry i oślepiały mnie!

Jeszcze więcej — więcej trzeba poobcinać!

Zszedłem przeto znowu nadół po siekierę i, znów wdrapawszy się na drzewo, siekierą torowałem sobie wśród gałęzi drogę wgórę. A kiedy już wszystko zdawało się gotowe, zszedłem raz jeszcze nadół po moje domki i z nimi udałem się znów na drzewo. Okazało się przytem, oczywiście, nieodzowne zabrać z sobą młotek, obcęgi i garść gwoździ.

Młotek powiesiłem sobie na sznurku na szyi, a obcęgi i gwoździe wpakowałem do kieszeni od kamizelki. Zwyczajny zdrowy rozsądek, ewentualnie kilka chwil namysłu (co zresztą na jedno wychodzi: rozsądek czas zabiera) byłyby mi podpowiedziały, że siekierę należy na wszelki wypadek zostawić utkwioną w pniu. Ale cóż, właśnie nie zrobiłem tego — zrucilem

ją odrazu prosto z drzewa nadół. No więc też zszedłem po nią znowu po drabinie.

To nieustanne wchodzenie i schodzenie zaczęło mię w końcu poprostu niepokoić. Wydało mi się ono czemś wręcz nieskończonem. Jeśli w tem samem tempie sprawa pójdzie dalej, nabierze cech wieczności, nakształt wstępowania i zstępowania aniołów po drabinie Jakóbowej w Piśmie świętem — tylko bez gniazd dla szpaków, o których dotychczas mowy nawet niema.

Skończyłem przy pomocy siekiery robotę w gałęziach i właśnie zamierzałem zwrócić zaaferowane myśli znów w stronę młotka, gdy narzędzie to, które miałem uwiązane na sznurku koło szyi, przy jakimś gwałtowniejszem nachyleniu się nagle koziołka wywinęło, wysunęło się z pętlicy i spadło wprost na ziemię.

Zdumiewająca rzecz, jak ten młotek leciał prosto przez gałęzie — co jak co, lecz to już należy mu przyznać; i leżał sobie potem spokojnie pod dębem z upartą i nadaśaną miną, która zdała się mówić: „Zejdź no tu, mój panie, bądź łaskaw mnie podnieść“.

Nie zaraz poń zszedłem.

Oparłem się o gałąź i wymyślałem mu czas dłuższy. Lecz on się nie podnosił — ani drgnął nawet! Rzecz zdumiewająca, jak one — te przed-

mioty — potrafią być bez życia, gdy im się tak podoba!

Poczem przyszło mi na myśl, jak bardzo zabawne musiałyby się to wszystko wydać komuś postronnemu, któryby miał dość czasu, aby mi się, niczem w teatrze, przyglądać. Pomyślałem przeto: „A dlaczego to ja sam nie mógłbym być tym widzem?” Ale się rozmyśliłem, że przecież ten obcy nie ma nic do roboty, jak tylko bawić się mym widokiem, gdy tymczasem ja mam prócz tego dostarczać mu właśnie widoku tego wchodzenia i schodzenia. Pole działania było za szerokie! Nie mogłem przecież jednocześnie bawić się serdecznie i na dodatek wykonywać całą pracę.

A więc znów zszedłem wdół z tyłą cierpliwości, ile w pośpiechu można wykrzesać jej z siebie. Schwyciłem młotek w szpony. Byłbym mu najchętniej łeb wtedy ukręcił. Lecz co komu przyjdzie z tego, że młotkowi swemu łeb ukręci? Co najwyżej będzie musiał kupić sobie nowy.

Młotek został więc podniesiony, tak jak sobie tego niegodziwiec życzył. I znów z nim zacząłem drapać się na drabinę.

W samym środku roboty, właśnie gdy zdała się ona żwawo posuwać naprzód, na horyzoncie pojawiła się nowa, nieprzewidziana trudność.

Dąb taktykę zmienił i przywołał na pomoc niespodziewanego sprzymierzeńca. I to kogo.. kurę! Jedną z mych kur kochanych!

Drzwi do domu pozostały były otwarte. Kura weszła przez nie do mego pokoju i skoczyła na stół, pożarła resztki mojego śniadania i groziła, że potłucze głupiami swojemi łapskami wszystkie przedmioty kruche i łamliwe na stole i w pokoju.

Była to kura, która sekowała mnie specjalnie, sama jedna więcej, niż wszystkie inne razem. Gdy bowiem inne robiły szkody tylko na półkach u sąsiadów, ona krążyła wiecznie koło domu, czatując, coby spsościć.

„Sio!“ zawołałem na nią kilkakrotnie zgóry. Lecz bez żadnego skutku. Nie chciała się przestraszyć mojego „sio!“. Bynajmniej. I nawet pokwitowała ten mój rozkaz w sposób, zdradzający całkowity brak szacunku dla mnie. Wiedziała niegodziwa, że ma aż nadto czasu, aby się ulotnić, zanim zgramolę się z dębem.

Poczyniłem tedy pod jej adresem pewne inne jeszcze, gróźb pełne, uwagi. W odpowiedzi na to przekręciła głowę, łysnęła okrągłą kurzą swą żrenicą, mrugnęła raz i drugi w sposób jawnie mnie lekceważący i skoczyła obiema łapami prosto w kawę. Nadaremnie rzucałem gałęźmi do pokoju.

A przeto zlazłem z dębu i wściekły wyгнаłem kurę z domu. Oddaliła się w sposób, którego zazwyczaj używają kury, aby odejść z miejsca, gdzie ich nie potrzeba — drogą możliwie jak najdłuższą, ku najwyższemu dla wszelkich rzeczy kruchych niebezpieczeństwu ze strony łopocących skrzydeł i głupich łap kurzych, z wielkiem gdakaniem i miotaniem się, jakby to było z mej strony oburzającym przestępstwem przeszkadzać jej w spokojnem tem zajęciu przetwarzania resztek mojego śniadania w piękne świeże jajka — i to w dodatku na własny mój użytek. Sekundowały jej w piekielnym tym hałasie wszystkie krewne i kумы, głośno i z całego serca zgodnie wtórując jej poglądom na oburzającą karygodność mego postępowania.

Taką otrzymawszy od mych kur nauczkę, wszedłem znów na drabinę i stanąłem w pozycji do przybijania domków. Było to ciężkie przedsięwzięcie. Musiałem dostosowywać swoje ciało do kształtów drzewa, do rozwidleń konarów, konturów, gałęzi. I gdy w jednej pozycji nie mogłem nabrać rozmachu do porządnego uderzenia młotkiem, inna uniemożliwiła mi wyjmowanie gwoździ z kieszeni od kamizelki, do której dostęp zagradzał mi nagle jakiś mały, ale uparty członek dębu.

Do przybijania gwoździ ciągle mi brakowało to ręki, to nogi. Miałem wrażenie, że przy tej robocie mogłem być stale zatrudniać w różnych miejscach sześć do ośmiu kończyn. W pewnej chwili naraz uświadomiłem sobie, jak wielką przewagę przy tego rodzaju pracach mogłyby mieć pewne gatunki małp. Z wdziękiem i gracją ich giętkie i mocne, w powietrzu merdające przedłużenie kolumny pancerzowej owijałoby się około gałęzi, gdy tymczasem cały zapas ich rąk i nóg byłby wolny do jakichś innych celów.

Zagrzaszwszy się na duchu tego rodzaju rozważaniami, gdy dalej pracowałem, usłyszałem po chwili jakiś cichy szelest czegoś małego i skromnie spadającego z lekkim hałasem na ziemię. Były to obcęgi, których w tej samej chwili właśnie potrzebowałem. Wyślizgnęły mi się one z kieszeni w kamizelce. Za nimi, jak krople, zleciało kilka gwoździ.

Zawrzałem wściekłością.

Lecz obcęgi, zupełnie tak samo jak młotek, nie podnoszą się same z ziemi i nie wędrują w górę. Starą, znajomą drogą zszedłem tedy z drzewa, ażeby je podnieść, i medytowałem, gdym znów zmęczony znalazł się na górze, czy „tat twam asi“ i „kochaj bliźniego swego, jak

siebie samego“ odnosi się również do młotków, obcęarów i gwoździ.

Przybijałem gniazdka na właściwych miejscach. Wszystko zdawało się iść gładko. Dookończyłem dzieła i zszedłem z drabiny, jak mniemałem, już po raz ostatni. Spoglądałem na te cztery domki dla szpaków z podziwem i dumą, odstawiłem drabinę i odniosłem ją w kąt daleko, gdzie zazwyczaj stała.

Poczem raz jeszcze zlustrowałem oczyma domki i zobaczyłem, że najwyższy z nich wisiał, jak na włosku, za ledwie na kawałku odstającej kory, kołysząc się bezwładnie z każdym podmuchaem wiatru, gdyż gwóźdź nie sięgnął drewna i nie wszedł w pień dębu.

Nie chciałem ulec w walce. Zebrałem się z siłami—cały upór zbił się w kłębek na mem „wnątrzu“ — byłem twardy jak kamień od tej zawziętości. Pragnąłem przepzeć wolę swą mimo wszystko; to nie domki dla szpaków, lecz ten dąb zmóc musiałem.

Z błyskawiczną szybkością wyrzycowałem znów drabinę i przybiłem domek, jak to mówią, na amen, na wieki wieczne.

A potem czekałem w ciszy ducha, co też się znowu zdarzy! Jakie też świństewko dąb znów mi zrobić raczy!

Lecz nic się już nie zdarzyło. Zwyciężyłem ostatecznie!

W ciągu najbliższego tygodnia kilka poszukujących siedziby parok ptasich obejrzało domki. Ptaki, jak mi się zdaje, są bardzo wybredne i ogromnie trudno się decydują.

Gdy rozpoczynałem spisywać tę historję, wydawało mi się, że jakiś morał da się z niej wkońcu wyciągnąć czy wycisnąć. Teraz, gdym ją już skończył, nie widzę żadnego. Sądzę przeto, że będzie to z mej strony delikatniej i taktowniej, gdy pozostawię to samemu czytelnikowi, aby znalazł sobie tutaj jakąś własną naukę moralną i ewentualnie zrobił z niej użytek. Byłem poprzednio nazbyt o ludzi troskliwy i przykładałem im wizykatorje moralne—pac! jedną po drugiej, ani się troszcząc o to, czy chcieli czy nie chcieli.

Nadmiar tego wszystkiego żadne szpaki, ani żadne wilgi, ani żaden nawet najmarniejszy ptaszek nie chciał nigdy zamieszkać w tych domkach na dębie.

XII

MOTŁOCH W DUSZY

Jest zawsze w każdym domu — jak zwykle się mówić — „sto rzeczy do zrobienia“.

Czajnik cieknie i zdałoby się oddać go do blacharza. Podłogę należałoby wyfroterować. Kaleki fotel na biegunach kark znów sobie skrzyć. Są dziury ziejące na piętach wielu par posępnych mych skarpetek. Jedno z pudełek z konserwami ma biały nalot pleśni, trzeba by je oczyścić. Półki wypada wytrzeć z kurzu. Brak żerdzi w kurniku. Projekty architektury ogrodowej zwolna dojrzewają w mym umyśle, a jedna z kur zaczyna już siedzieć na jajach.

Mam do napisania dwa listy—do porąbania drzewo — muszę przynieść wody. Chleb trzeba obstałować u piekarza, a przedewszystkiem (ważniejsze od chleba!) wielki i gruby kołacz malinowy. Trzeba też koniecznie wstawić stłuczoną szybę.

Potrzeb więc jest bez końca: w ciągu pię-

ciu minut mogę dla rąk moich więcej znaleźć pracy, niż będą one zdolne wykonać jej przez miesiąc.

No i oczywiście trzeba nalać lampę. A gdzie się też nóż podział?... A drzewa nie przywieźli...

Każda z tych konieczności jest jakby osobnikiem — wymaga czasu dla się, uwagi, roboty... Nasiadając na mnie całą hurmą, tworzą one w duszy pospólstwo, czerń, motłoch i — przeszkadzają mi wogóle coś robić. Chwilami rzuca się na mnie cała ta wrzaskliwa zgraja — każde piszczy mi o swych potrzebach i żądaniach, każde domaga się, by najpierw je uwzględnić.

Starałem się ułagodzić tę zgraję gorliwością, jaką jej okazywałem, i zaspakajałem żądania pokolei, jak mogłem najprędzej.

Metoda ta nie została uwieńczona żadnym powodzeniem.

Nie zaspokoilem żadnego z wymagań — nie zrobiłem nic, jak się należy — ani mnie, ani im nic z pracy mej nie przyszło.

Pociłem się nad reparacją kurnika, gdy tymczasem duch mój do kuchni ulatywał, do potraw w piecyku.

Ponieważ odwróciłem uwagę od młotka, ten trafił w mój palec zamiast w gwóźdź wbijany

i mocno mię skaleczył. A w chwilę potem zapach spalenizny doleciał mnie z kuchni. Ciało w kurniku, duch w piecyku — to tylko zamieszanie wprowadza do wszystkiego; a z tej kotłowaniny wynikł skrwawiony palec, spalone jedzenie, źle zreparowany kurnik, a co najgorsza — utrata pogody ducha, otuchy, sił, energii.

Spróbowałem napisać zaległy list prywatny. Umysł mój, jak włóczęga, wymknął mi się i powędrował wślad za miotłą, która leżała na podłodze. Układając zdanie, wstałem, by miotłę podnieść, i przy pewnej konstrukcji imiesłowowej przewróciłem garnczek z czerwoną olejną farbą. Znów przekłute splełanie ducha i materji.

Następnego dnia rano ten sam motłoch raz jeszcze, drąc się i popychając, otoczył mnie kołem.

Na to podniosłem się, wyprostowałem jak wysoki i stanąłem na wysokości zadania. Powiedziałem: „Ten harmider ma natychmiast ustać, i to przede wszystkim w moim mózgu! Niech sobie chaos, jaki chce, panuje w moim domu — niech istotnie to wszystko będzie do zrobienia i na zrobienie czeka — a jednak od tej chwili zawsze tylko jedna rzecz będzie robiona naraz, i to robiona tylko takim nakła-

dem sił ciała mego i umysłu, jaki jestem zdolny naprawdę skontrolować. Wynoście się! Apage! Zniknijcie aż do czasu, póki nie dojdę i nie nie ustalę, kto z was jest koniecznością, a kto nie; kto oznacza mus, a kto potrzebę; co należy do obowiązków tej godziny, a co bez szkody może być załatwione jutro“.

Tłum zmalał. Pozostało kilku osobników. Oprócz narąbania drew, przyniesienia wody i jeszcze jakichś dwóch-trzech „musów”, okazało się, że niema nic takiego, coby nie mogło czekać. Odrobiwszy konieczności, zwróciłem się do rzeczy niekoniecznych, dopuszczałem przed swe oblicze jedną z nich za drugą, pociągałem je do raportu, zadawałem pytania, wysłuchiwałem odpowiedzi i potem — przez lewo zwrot w tył! marsz z powrotem!

Jednym z tych kwestjonowanych był mój ogród. Uszlachetniam w nim kilka dziko rosnących roślin z okolicy, wygrzebuje je z pobliskiego gąszczu i przesadzam na mą działkę gruntu. Mam zamiar pozwolić tym kwiecistym dziczkom rozrosnąć się dowoli i zobacze, co z tego wyniknie.

Przesadziłem cztery młode cedry i zasadziłem pośrodku pewien gatunek cudownej dzikiej łoży winnej, której nazwy potocznej nie znam, a botanicznej dowiedzieć się nie pragnę.

Jak dotąd, wszystko dobrze. Pracowałem w spokoju, nie śpiesząc się i z zadowoleniem; odczuwałem tę pracę raczej jako czynność od święta, niż robotę, gdy wtem nowa ambicja wstąpiła we mnie — zapragnąłem urządzić cały szereg kolistych alei z młodych cedrów i wypełnić ogromną przestrzeń niezliczoną liczbą innych roślin.

Ani się obejrzałem, jak już te ambitne zamiary dojrzały, objęły mię i opanowały. I nagle zobaczyłem się, jak z wściekłym pośpiechem kursuję pomiędzy gąszczem leśnym a ogrodem, dźwigając całe naręcza powyrywanych roślin, wygrzebując je i sadząc namiętnie. Umysł mój, pędząc hen daleko przodem, pokrzykiwał i ponaglał członki mego spoconego ciała, jak właściciel popędza swoich niewolników.

Znów więc, aby rzec prawdę, jeden z tego pospólstwa życzeń, kaprysów, zamiarów, projektów, planów — albo jak tam kto zechce to wszystko nazywać — pojmał mię ukradkiem, uplątał w swe sieci i uczynił rabem swoim.

Wszystko z rąk mi wypadło — świadomie zezwoliłem na to — usiadłem natychmiast spokojnie i rzekłem: „Ten bunt ma ustać!... Tak... I ten rozruch również niech się uspokoi! Porządek ma zapanować we mnie! Nie chcę, aby

mną komenderowały tego rodzaju pragnienia, ani wszystkie razem; ani jedno z nich“.

Wyrwałem z korzeniem moje wielkie ambicje ogrodowe i sprowadziłem wszystko do rozmiarów początkowych.

Wówczas zrobiło mi się lepiej.

Ten bunt stłumiłem w sobie. Lecz jeszcze nie wszystkie bunty opanowałem — pozostały inne. Moje państwo ducha było przez czas długi bardzo źle rządzone, daje się w niem odczuwać pewnego rodzaju niesubordynacja, która za węglem się czai. Starzy napastnicy czatują u granic, wiecznie gotowi do ataku, by wdrzeć się do środka.

XIII

TACZKA ZGRYZOT

Był dżdżysty dzień. Bardzo wilgotny. Bardzo czarny. Uporczywa, przemoknięta nęcza świata. Niebo wprost bestjalskie.

Byłem skwaśniały, doszczętnie bez humoru. Z jeszcze ciepłego popiołu przeszłości wygrzebałem pewne stare zgryzoty swoje; pożytyłem do tego od przyszłości kilka nowych trosk i włożyłem to wszystko razem pod potężny i świetnie skonstruowany mikroskop chorobliwej wyobraźni, dający powiększenie dziesięciu tysięcy razy, gdy chodzi o mą nędzę fizyczną i duchową, a przy odpowiednim przestawieniu szkieł — także pomniejszenie, gdy chodzi o myśli radosne, przyjemne.

Instrument pierwszorzędny!

Poczem powiedziałem temu naszemu światu prosto w oczy, że najpodlejszy pies nie chciałby żyć na nim, że jest on nicwartą obydą i gałgaństwem: że pomimo iż z sądem ostatecznym

łączy się ta mizerna i nędzna nieśmiertelność, to życzę sobie jednak stanąć na nim jedynie i wyłącznie po to, aby raz wreszcie móc kiedyś powiedzieć właściwej władzy kilka gorzkich a mocnych słów prawdy.

W niespełna godzinę urządziłem sobie szerokie i przestronne piekło—Hades—o ścianach od dołu aż do samej góry wykładanych mozaiką ze szczątków wszystkich ludzkich nadziei—rozbitych; szczęście—w kuble z nieczystościami; miłość—kopczą sadzą stajenna latarka w jakimś obskurnym kącie...

Aż wreszcie przybrało to wszystko charakter tak okropny, że mimowoli przyszła mi do głowy myśl: „Teraz jest to już dość okropne“. A w każdym razie w okropności swojej przekroczyło to miarę mej wytrzymałości.

I powiedziałem sobie wówczas w miłym serduszkum swoim: „No, mam czego chciałem. Jestem zadowolony!

Wydobyłem wszystko, co było do wydobycia z przeklętej strony życia. Zakosztowałem wszystkich otchłani z gryzoty. — Pocóż teraz jeszcze wogóle ten posępek? Wszakże wczoraj słońce świeciło jak zwykle. To samo słońce w ten sam sposób przecież i dzisiaj gdzieś świeci. Nawet te bestjalskie chmurzyska deszczowe oświeca ono

blaskiem swym od tamtej strony. I ja mam dziś tę samą świadomość co wczoraj. Czyż jestem heliometrem, aby trochę światła albo odrobina wilgoci w powietrzu całkowicie zmieniały moje stanowisko?

Zapewne, śmierć oraz brud pejzażu przenikają i w człowieka... Nikt nie wchodzi do ciemnej piwnicy poto, aby zgotować sobie dzień radosny.

Lecz są przecież istoty, które potrafią stawić opór podobnemu naciskowi z zewnątrz i to istoty bliższe natury ode mnie! Tamten oto ptaszek śpiewa sobie na deszczu całkiem zadowolony. Jakżeż on to robi, że zachowuje cały swój dobry humor?

Wśród ludzi, z których ja się składam, jest też jeden, lubiący udzielać rad i czasem to i owo mi proponujący. Nie jest on bynajmniej moim ulubieńcem! Brak mu przedewszystkiem taktu. Jest coś natrętnego w sposobie, w jaki stale pojawia się właśnie wtedy, gdy mam coś zgoła innego na myśli, o czym on zwłaszcza nicby nie powinien wiedzieć.

„Gdyby pan był tak łaskaw i zgodził się na to, uczyniłbym panu pewną propozycję“, mówi. „Chociaż, jak mi Bóg miły, nie chciałbym narzucać się panu zmoją radą. Wiem, jak to nieprzyjemnie. Sam tego znieść nie mogę. Ma

to w sobie coś tak kaznodziejskiego, wygląda na „ja — jestem — znacznie — od — ciebie — mądrzejszy — lepszy“ i wogóle jest bardzo trudne do przełknięcia. Przytem jest tego tyle!... Każdy bliźni zda się nosić w kieszeni pakiet rad i propozycji — tylko że nie dla siebie, ale dla innych“.

„Jednakże mimo to pragnąłbym bardzo pozwolić sobie na pewną uwagę... Niechże pan, proszę, tak mnie posłucha tylko, jak śpiewu tego ptaszka — nie więcej i nie inaczej“.

„Należy pan do tych, którzy wiedzą, czego chcą. To już dobrze — to bardzo wiele — to nawet rzecz wyborna! To jawna wygrana. Chce pan wydobyć myśli swoje z tej posępnej brózd, którą w tej chwili biegną. W pańskim wypadku jest to wogóle rzadkie szczęście, jeśli się może czegoś podobnego pragnąć. Po większej części ludzie są zbyt spragnieni przyjemności, aby się na to zdobyć — pozwalają oni swemu umysłowi krążyć w tę i w tę stronę wciąż po tej samej mrocznej i posępnej drodze — sprawia im to pewną swoistą przyjemność — są perypatetykami zgrzyzoty i jej orgij. Podobnie bowiem, jak zgrzybiała tygrysica strzeże ostatniego swojego małego, tak i człowiek broni uraz swoich do świata i ludzi przeciwko każdemu, kto by mu groził ich odję-

ciem. Świat dlatego tak jest przepełniony nieodkupionemi winami, ponieważ ludzie za żadne skarby nie chcą odstąpić krzywd, których tu doznali. A wszak już Pismo święte mówi, że „kto posiada, temu jeszcze dodane będzie“. Rzeczy podobne do siebie w sposób tajemniczy wzajem się przyciągają: i dlatego niech smakosz strzeże się cierpienia — jego namiętność jest z wszystkich istniejących najbardziej rujnująca“.

„A oto pan chce jednak wyciągnąć swój nastrój z posępku i mroku, aby otworzyć sobie miejsce dla lepszej, jaśniejszej przyszłości“.

„Niechże pan tedy jedzie z tą taczka na plac z drzewem: niech ją pan powiezie z największą uwagą i starannością, na jaką może się pan zdobyć. Niech pan uczyni sobie z tego sport — tę rzecz najbardziej naserjo na świecie. Niech Pan pcha taczka swoją przez ściernia na rynek z możliwie jak najmniejszym nakładem sił i pracy, inteligentnie, chytrze i przemyślnie, z całą umiejętnością omijając wszystkie dołki, kamienie i kałuże w brózdzie. Niech pan do taczki tej wrzuci całą swą świadomość! Przybywszy na plac z drzewem, niech Pan ją naładuje drwami, niech Pan ułoży z nich stos możliwie jak najwyższy mądrze i ostrożnie, tak aby żadne drewno nie ośliznęło się i nie

wypadło Panu. A wtedy niech Pan z tą samą uwagą przywiezie przez pole tę pełną taczkę z powrotem do domu. Kiedy zaś Pan już będzie drwa do izby znosił, niechże ich Pan nie ciska około komina, jakby Pan obrzydliwą żmiję ze siebie strząsał. Ułóż Pan z nich stateczną i szanowną, równą kupkę i zobacz Pan potem, czy razem z temi drwami z taczki nie wyładował Pan przypadkiem z duszy dużej wewnętrznej porcji okropności“.

„Ma to w sobie coś z recepty siedmiu kąpieli w Jordanie, które miał przepisane na swoje cierpienia ów wódz biblijny“, pomyślałem w duchu; ale że ostatecznie kąpiele te poskutkowały, czemużbym i ja nie miał spróbować takiej kuracji z taczką“?

Był to najtrudniejszy czyn w całym mem życiu!

Przez pewien czas, nieduży kawałeczek drogi, popychałem taczkę w poważnem skupieniu, jakby to była zabawka tylko i nic więcej; taczka zaś sprawiała się, jak mogła najlepiej—rasowa taczka—omijała kamienie, rozpadliny, jamy—szła po terenie, niczem irlandzki folblut.

Zrobiło mi się odrazu o wiele lżej. Miałem wrażenie, że taczka wypycha mię z Hadesu.

Ale to początkowe napięcie moje zaczęło

słabnąć tak jakoś przypadkowo, nieznacznie, nieświadomie — aż powoli przestałem czuć nad sobą pracę.

I znowu oto pobiegliśmy — ja i moja taczka — dwiema różnymi brózdami: ona swoją dróżką, a myśli moje dawną swoją kamienistą, pełną wybojów ścieżą żalów, strachów, obaw.

„Te dawne dobre dni nie wrócą nigdy już...”
Jak nieobecni, którzy nie powracają nigdy, albo nawet gorzej: wracają zmienieni! Poco to wszystko, na co?... Cała ta bezcelowość, bezsens... Lata, które mijają, starość co nadchodzi — i te „O, mój Boże!” i te „Tak, tak, to życie“!..., któremi zawsze w końcu jakieś opowiadanie, od smutku zjeżdżały, przyskrzyni nam palce...

„No i cóż, powiedział mój Mentor, znów taczka pańska znalazła się w jakimś wyboju, a humor w piekle. Ale to nic nie szkodzi, to Pańskie stare i sercu miłe przyzwyczajenie! Drzwi do Hadesu tak się łatwo otwierają, są one zawsze świeżo naoliwione. A drzwi do radości, przeciwnie, mają zawiasy zardzewiałe. Przed Panem jest jeszcze bardzo dużo pracy. Próbować i chybiać — chybiać i próbować — i chybiać, chybiać, chybiać — i znów ponawiać próbę — i znowu, i znowu — i tak czas dłuższy, długi... Bo innej drogi niema. **O z d r o w i e n i e**

ma Pan wkońcu zapewnione, lecz wiele trzeba czasu, by je uczynić trwałem. To próbka tego, jak się osiąga zbawienie. Skoro raz wreszcie dojdzie się już do tej umiejętności, że potrafi się w ciągu, powiedzmy, dziesięciu do piętnastu minut kierować myślą na dowolnie obrany przedmiot, to już one na nim pozostaną same przez się aż do odwołania“.

I znów zabrałem się do dzieła — popchnąłem taczkę o jakieś dwanaście kroków naprzód — a wtedy stanęła jej oto na drodze moja ulubiona uraza do ludzi. W tej tak rozmiłowany jestem!... Popychanie taczki i czuwanie nad nią zdałem na wolę losu... Uraza mówiła (a ma tak świętą rację): „Gdyby tylko ten a ten nie był tego a tego powiedział... Wiem, że poczęści i ja nie miałem słuszności (jestem tak sprawiedliwy!). Ale nigdybym przecież nie był się posunął aż do tego, aby rzec — albo aby pomyśleć — lub aby tak postąpić...“

„Ba, ba, ba!... i gdzież to Pan znów bawił, czem Pan się zajmuje?“ ozwał się mój doradca. „Z pewnością, nie popychaniem taczki.“

Więc znów zabrałem się do pracy. Przecież to wstyd doprawdy, żeby przez dziesięć se-

kund nie móc zapanować nad swą własną myślą. Jakaż to słabość, jakie rozlazłe niedo-
łęstwo!...

„Już Pan znów skręcił z drogi“, upomniał
mnie mój Mentor. „Myśl Pan o pracy, którą
Pan masz wykonać, a nie o swych
słabostkach“.

„Wszakże myślałem przed chwilą tylko o tem,
jak bardzo Pan ma rację“.

„I to również niech Pana nie teraz
nie obchodzi, czy ja mam słuszość,
czy jej nie mam. Pan się powinien inte-
resować taczka i tylko taczka. Przy niej Pan
myślą zostań. Niech Pan przez nią się stara
osiągnąć swe zbawienie — zbawienie tej go-
dziny — tej oto minuty“.

Pchąłem taczkę znowu przez jakiś tuzin
kroków. Wtedy stanęła przede mną ulubiona
obawa moja — tak czarna, jak nawałnica
w górach; a dusza moja, objęta mrokiem sza-
cunku i lęku, marzyła: „Wszystko mi źle pój-
dzie — zawsze źle wszystko idzie. Przy moim
braku szczęścia... Znalazłem się dziś w takim
fałszywym położeniu — nikt mi nie będzie
wierzył! Co mam powiedzieć! Co mam“...

„Taczka, taczka!“ głos upomnienia znowu
rozległ się nade mną.

„Do diabła z taczka!“ jawnie się zbuntowa-

łem. „Żądam, aby mi wolno było zastanowić się w spokoju nad memi przykrościami, bo w przeciwnym razie nic z nich mieć nie będę. I wogóle zresztą... cóż to za głupia idea, aby całą uwagę zwracać tylko na rzecz tak podrzędną, jak to bezcelowe popychadło, i zaniedbywać z tej racji naprawdę ważne sprawy!“

„O, święty Kalasanty!“ powiedział znów mój Mentor. „Więc za pozwoleniem Pańskim, niechże raz Panu powiem, że ważne sprawy życiowe są to właśnie te, które Pan zwiesz małemi. „Rzecz w wielkim stylu“ — oto słynne słowa, z którymi występować i paradować lubią dyletanci. „Myślenie o przyszłości“ — oto piękno-brzmiające omówienie dla niezdolności myślenia o terażniejszości. Teraz zaraz... TERA Z... TERA Z... TERA Z... oto jedyna znana nam rzeczywiśność — jedyna, która rzeczywiście działa. Los splota się z oczek rzeczy codziennych, cogodzinnych. Zwir na szynach nieraz wykoleja pociąg. Trochę arszenu, przez niedbałość zapomniane w szafce i zamiast proszku do ciasta użyte, całą rodzinę truje. Przez drabinę, której Pan z lenistwa i wygodnisiostwa nie ustawił należycie, kark Pan skręci. Łyżka jedzenia, którą Pan

w siebie wrzuca, jak zboże w pytel młyński, przyprawia Pana o niestrawność, a przez to potem spełzają na niczem wielkie radości Pańskie i wielkie przedsięwzięcia. Niewyraźnie napisane kilka liter, przez które z „igły“ robią się „widły“, naraża Pana na poważny konflikt z najlepszym przyjacielem“.

Tak gderał dalej Mentor, kiedy tymczasem ja, odbiegłszy znowu myślą od mych taczek, wdałem się w marzeniach w rozmowę — wprawdzie w rzeczywistości zaledwie możliwą, ale napewno bardzo przykrą — z pewnym mym znajomym: „Gdy go zobaczę, gdy będę do niego szedł, muszę być w łagodnym, cierpliwym nastroju, w usposobieniu pojednawczem — zgóry już muszę wprawić się w ten stan ducha i nie dać się zeń wytrącić“.

„Nie masz pan poco wprawiać się naprzód w żadne stany ducha“, mówił Mentor. Nie masz Pan co teraz przygotowywać sobie tego, co Pan pomyśli lub powie dopiero za dni dziesięć. Jest Pan człowiekiem żyjącym i ma Pan za kilka centów temperamentu, a więc w każdym razie będziesz Pan myślał wtedy i mówił zupełnie co innego, — tylko że szanowny Pan woli teraz oto zabawiać

się w teatrze i urządzić sobie samotne przedstawienie w pojedynkę, gdy przeciwnika niema, aby móc być zupełnie pewnym swej roli bohatera.

„Tymczasem Pan masz teraz pchać tylko tę taczkę. I na to obrócić wszystkie swe zdolności. Pozwól Pan, niech się przyszłość sama o siebie troszczy.

„Miejże Pan, na Boga! wzgląd na swe pożałowania godne członki — ręce, nogi. Jakież bóle w mięśniach szykujesz Pan sobie przez te rozmowy urojone! Niechże się Pan przestanie troszczyć o to, co kiedyś tam będzie — myśl Pan o taczkach, tylko i wyłącznie, i o niczem więcej“.

Lecz tego jednego właśnie uczynić nie zdołałem. Prosto przekraczało to moją możliwość. Nie uszedłem dziesięciu kroków, a już znów zjawiała się ukradkiem w mojej głowie taka jakaś nędzna, mizerna myśl postronna, kaprys lub troska z ubocza, i wysadzały z zawiązków to, co zwę swym duchem.

W tej grze nie mogłem wygrać.

Lecz zaufanie moje do sposobu z taczką jest, jak poprzednio, niezachwiane.

Należy tylko tę metodę taczkową stosować dostatecznie długo.

XIV

O M E G A

A jednak, wbrew wszystkim i wszystkiemu, stało się w końcu oczywistem, iż moja budowa była chybionym krokiem — przynajmniej jeśli miało w niej chodzić o osiągnięcie przeze mnie jakiegoś trwałego szczęścia.

Gdy bowiem wszystko zdawało się już być gotowe, gdy zboże wyrosło i kury się niosły, że lepiej nie trzeba — trzy z nich siedziały już nawet na jajach — gdy dzikiem winem obrosło mi okno i, jak aureola zielona, uśmiechać się do mnie zaczynało, — wówczas ja sam zniemacka jałem tracić humor i smętnem toczyć okiem po mojej pustelni. Samotność nie mogła dać mi tego szczęścia, które-m wymarzył był sobie. Zdawało mi się przedtem, że będę zdolny zawrzeć jakieś monogamiczne małżeństwo z naturą, i tylko z nią wyłącznie, zgoła niezależnie i w całkowitem oderwaniu od reszty ludzkości. Lecz, jak się okazało, danych do tego nie mia-

łem, albo przynajmniej życie tego rodzaju nie mogło szkody mi nie wyrządzać.

Myślę, że zupełnie to samo spotkać musi każdego, kto jest naprawdę żywy.

O tem mię zresztą sama natura pouczała. Wszystko żyjące chadzało w niej parami lub stadami. Rośliny i drzewa kwitły kępami, rodzinami, a mrówki i wszystko inne dążyło do tego, aby się kojarzyć z podobnem do siebie.

I tylko ja jeden oto — okruszyna, od społeczności oderwana — usiłowałem żyć całkiem samotnie. Cóż, ptakom i zwierzętom może to pochlebiało, że je podziwiałem, ale całkowicie do swojego życia one mnie jednak nie przyjęły... może dlatego, że nie potrafiłem ocenić właściwie i w całej rozciągłości wybornego smaku młodziutkich pędraków... a może... dość że uczucie pewnej obcości pozostało.

Coś takiego było w powietrzu, jakdyby: „Ty do nas nie należysz. To poza z twojej strony, gdy o to zabiegasz. Idź do podobnych sobie i przychodź tu do nas jedynie z wizytą. Do naszego życia całkowicie i tak się nie dostaniesz. Nie jesteś przecież ptakiem, który mieszka w gnieździe i żywi się robakami, ani wieiórką w dziupli, ani drzewem, abys mógł zapuścić korzenie na jednym miejscu i tak pozostać. Pustelnik jest człowiekiem, który usiłuje stać

się drzewem i z jednego tylko miejsca czerpać pokarm. A przecież jest on o wiele więcej, niż tylko drzewem, i musi swe wysoce zróżnicowane życie podsycać sokami z wielu miejsc, a podniety musi mu dostarczać wielu różnych ludzi. Niedźwiedź nie bywa nigdy tak nierozsądny, aby chciał żyć tylko pomiędzy wilkami — niechże i człowiek nie próbuje mieszkać pośród drzew wyłącznie i obcować z tem tylko, co zowie naturą — nie mogą mu one dać wszystkiego, czego potrzebuje do swego najbardziej osobistego życia.

Są ludzie typu roślinnego — i typu zwierzęcego — i typu boskiego. Człowiek boskiego typu potrzebuje aury tego, co najbardziej duchowe na ziemi — czyli człowieka — aby móc osiągnąć całkowity rozwój.

A przeto opuściłem wkrótce mą samotnię — jak sądzę, już na zawsze — i przetransportowałem łóżko, patelnie i garneczki do Nowego Yorku, do domu jednego z mych przyjaciół, który mieszka...

Lecz co ma jego adres do powyższej przygody mej z próbą pustelnicstwa?

SIŁA I SPOKÓJ

LIBRARY

EKONOMJA SIŁ

Przez takie życie, jakie dziś prowadzimy, trwonimy siły na tysiączne rzeczy, sami tego nawet nie podejrzewając.

Istnieje wszelako wyższa ekonomja i oszczędność, niż ta, którą uprawiamy w stosunku do pieniędzy, i tej właśnie wyższej ekonomji nauczyć się musimy, albowiem ona dopiero wskaże nam drogę do zapobiegania trwonieniu sił naszych. Wiedząc zaś, jak mamy zachowywać siły, pomnożymy oczywiście nasze zasoby umysłowe i fizyczne w sposób bardzo znaczny i potem już w przyszłości nieustannie pomnażać je będziemy, tworząc sobie dzięki tej oszczędności kapitał, wartością swą o wiele przewyższający wszelki majątek pieniężny. Staniemy się zdolni przedłużyć przez to życie nasze do takich granic, o jakich obecnie nie śmiemy nawet marzyć.

W tej boskiej ekonomji sił, której dotąd nie opanował jeszcze żaden człowiek, każdy

nasz czyn duchowy czy cielesny dawać będzie początek powiększaniu naszych sił lub nawet odnowa je stwarzać będzie. Chodzenie, praca fizyczna w domu lub na roli, działalność naukowa albo artystyczna będą nas napełniały radością i trwale potęgowały w nas siły. Ekonomia ta będzie też zwiększała naszą duchową i fizyczną wytrzymałość i odporność, gdyż, zachowując ją, będziemy więcej sił otrzymywali, aniżeli zużywali.

Jedną z głównych przyczyn naszego obecnego marnowania sił jest nastrój niecierpliwości w nas i brak wstrzeźliwości duchowej. Każdy ruch najsłabszego nawet mięśnia zużywa część sił naszych i ducha. Czy zginamy palec, czy przymykamy powieki, czy choćby w najlżejszy ruch wprawiamy jakiś z naszych członków, wszystko to zawsze jest tak samo dobrze siłą Boga, jak i naszą własną. My sami bowiem częstkami Nieskończoności jesteśmy. A prawo tej Nieskończoności głosi, że siła Jej w nas ma być obrócona na to, aby w końcu zapewnić nam najwyższą radość.

Ból i niespokojne miotanie się powstają w nas tylko wtedy, gdy siłę boską zużywamy niezgodnie

z wolą Nieskończoności i jej zamiarami.

Ból wszelki to wysłannik, goniec Nieskończoności, który nas przestrzega, że błędnie użyliśmy sił swoich.

Przypuśćmy czytelniku, że za drogie pieniądze kupiłeś automat lub zrobić go kazałeś. Automat ten poruszany jest przez pewną siłę. Jest przytem bardzo „mądry“: umie otwierać i zamykać szuflady, wyjmować arkusik papieru, który dopiero co zapisałeś, maczać pióro tve w kałamarzu, zapinać i odpinać guziki od ubrania albo rękawiczek, słowem potrafi spełniać te wszystkie rękoczynny, które każdy, chociażby całą armję służących posiadał, sam sobie spełniać musi.

Otóż, gdyby specjalny rodzaj węgla, czy jakieś inne źródło energii, które ten twój automat w ruch wprawia, kosztowało bagatelkę: przypuśćmy, że sto dolarów kilo, — czy w takim razie uciekałbyś się tak bez ceremonji do usług tego automatu przy lada bagatelce? Czy też raczej przeciwnie, posługiwałbyś się nim nader ostrożnie i rozważnie? Czy za każdym razem, zanim go w ruch puścić, nie zastanawiałbyś się chociażby przez krótką — a może i dłuższą — chwilę, czy w stosunku do zużytej energii działalność tego kosztownego sługi

twojego jest dosyć wydajna? I czybyś pozwolił, aby działalność ta odbywała się brutalnie, skokami gwałtownymi i z takim natężeniem, ażby cała maszynerja od niej zgrzytała i jęczała i wkrótce musiała do naprawy powędrować, albo — broń Boże! nawet do graciarni pomiędzy nieużytki i rzeczy popsute?

No a my, gdy się ciałem naszym posługujemy, — gdy naprzykład z wściekłością drzemy arkusz papieru na drobne kawałki, lub otwieramy jednym pchnięciem okno, albo szarpnięciem zrywamy z wieszadła jakąś część garderoby naszej, lub jak oszaleli biegamy po pokoju, — my zużywamy wówczas o wiele więcej sił swych, niż potrzeba.

A kiedy w takim właśnie usposobieniu spełniamy te tysiące drobiazgów, których nie spełnić dzień w dzień nie możemy, to jest to oczywiście stałe wydatkowanie siły, której żaden jej przypływ nie rekompensuje. A ten stały wydatek sił sprowadza na nas w końcu wyczerpanie, chorobę i śmierć ciała.

Policz, jeżeli zdołasz, te najrozmaitsze ruchy członków i mięśni, które wykonywasz choćby tylko przez pierwszą godzinę po wstaniu. Pomyśl o tych najróżnorodniejszych ruchach mięśni, których wymaga choćby samo tylko przy-

wdzianie ubrania, krzątanie się po pokoju, po mieszkaniu. Uprzytomnij sobie, że każdy z tych ruchów zużywa część twojej siły, zupełnie tak samo zresztą, jak i każda myśl, która przemknie ci przez głowę.

Ten automat, o którym mówiłem, to ciało nasze.

Siła lub duch, które zużywamy na podniesienie czy to najlżejszego piórka, czy stofuntowego ciężaru, spływają na nas z Nieskończoności, gdyż ta jest przecież wszystką istniejącą Siłą i wszystkim Duchem.

Siły tej za pieniądze nabyć niepodobna — przekracza ona nieskończenie wszelką cenę rynkową. Nic z tego, co czynimy, nie pomniejsza zgoła jej dostojności i świętości. Godności swej nabiera ona zarówno przez pióro, którem coś notujemy, myśli wyrażając, jak i przez igłę, którą szyjąc, naprawiamy swe stare ubranie, jak zresztą przez cokolwiek, zgoła przez wszystko inne.

Odpowiednia ekonomja naszych sił oznacza wiekuiste życie naszego ciała. Nie tego ciała, które obecnie jest naszym, lecz ciała fizycznego, które, wiecznie zmienne, odnawia się i usubtelnia w rytmie wieczystości odnawianej siły, przez ducha w nas

czerpanej z nieskończonego wszelkiej wieczystej siły Źródła.

I właśnie na drobnostki, na ciągłe trwonienie sił w minimalnych dozach, powinniśmy zwracać specjalną uwagę. Musimy być zawsze panami każdej chwili!

Nie trać niepowrotnej, kosztownej godziny na trudy szukania zgubionej szpileczki!

Marnotrawienie przez nas sił przy posługiwaniu się naszym ciałem odbija się niechybnie i to w sposób jaknajzgubniejszy, na jego wewnętrznym mechanizmie. Dominujące w nas usposobienie i uczucia wpływają na płuca, serce, obieg krwi i wszystkie inne funkcje narządów naszych.

Gdy bardzo się śpieszymy, funkcje te dokonują się również pośpiesznie, więc niedoskonale. Gdy nie chce się nam spełniać swych czynności w tempie normalnym, bez pośpiechu i jak się należy, to i nasz żołądek nie będzie jak się należy funkcjonował. A inne organy oczywiście pójdą za nim.

Żadna część maszyny nie może wyjść z normy, nie pociągając za sobą wszystkich innych.

Trwonienie sił wywołuje w nas niepokój, niecierpliwość, pośpiech. Oddech ludzi niespo-

kojnych, wiecznie podnieconych i zgonionych, jest krótki, dychawiczny i nieregularny; ci, którym pośpiech i niecierpliwość weszły w przyzwyczajenie, żadną miarą zdrowo oddychać nie mogą.

Oddychanie bowiem bywa cielesne i duchowe. Gdy duch nasz zapozna się z wyższą ekonomją sił, doda on przez to ciału wielce osobliwej swoistej żywotności. Albowiem tę żywotność właśnie wciągamy w siebie z każdym tchnieniem; ona to sama przez się wywołuje głęboki i spokojny oddech. Ta żywotność nie jest ziemskiego pochodzenia — jest ona rodem z państwa duchowego. A dobroczynnego wpływu tego państwa i jego tchnienia życia doznajemy wszyscy w miarę naszych ku niemu aspiracji i wysiłków. Wysiłki te polegają na kierowaniu ku Nieskończonej Świadomości pragnień i pożądań wzniesienia się na wyższe szczeble bytu, do jego form doskonalszych, ponad ból wszelki, ułomność i śmiertelność.

Nienawiść jest najdzikszem nadużyciem naszych sił. Wszelkiego rodzaju nienawiść poważnie szkodzi nam na ciele.

„Wszelako“ — gotów ktoś na to odpowiedzieć — „czyż nie jest rzeczą słuszną i nawet

chwalebłą nienawidzieć złego, ucisku, niesprawiedliwości?”

Słuszność i niesłuszność wcale tu w grę nie wchodzi. Co bowiem słuszne jest, a co niesłuszne, o tem rozstrzyga ogół społeczeństwa. A jest to naszą sprawą czysto osobistą, rzeczą naszej duchowej konstytucji i tego stanu usposobieniowego, w którym się znajdujemy, czy stan ten — sam w sobie — na złe czy na dobre nam wychodzi. Kto we wszystkim, w każdej rzeczy poszczególnej widzi niedoskonałość i stale w sprzeczności stoi z obyczajami, prawem oraz społecznością, ten niejako wstrzykuje sobie przez to rozkładający pierwiastek duchowy i nim wypełnia ciało. Są ludzie, którzy przyprowadzają się o chorobę i o śmierć nawet z nienawiści zrodzonej przez coś, co im się „dobrą sprawą“ zdaje. Wymowny mówca, pełen wiecznej, raniącej pogardy i drwin sarkastycznych w stosunku do tyranów i ciemiężców, musi niekiedy przedwcześnie zejść do grobu. Albowiem w walce z wrogiem dostał się on w prąd wściekłości i nienawiści. A wyjść z takiego prądu nie jest rzeczą łatwą. Jest on, jak miecz, który i tego zabija, kto się nim posługuje. Żyć takimi mieczami to znaczy ginąć od nich.

Gdy kiedyś w przyszłości stosować się będziemy w życiu do praw wyższego typu, w nowym duchu i boskiej ekonomji, dzięki której wszechmocność osiągniemy, będziemy też oszczędzali tych sił, które dziś na nienawidzenie zużywamy, albowiem nic godnego nienawiści dokoła nas nie będzie. I w człowieku i w naturze dostrzegać będziemy wówczas tylko dobre strony.

A ten, kto tylko samo dobro widzi, wypromieniowuje z siebie wielką duchową siłę, która wciąż jeszcze więcej dobrego doń przyciąga. Najwyższa Świadomość wskaże nam — ale tylko o tyle, o ile sami będziemy się tego od Niej domagali — jak wiele dobrego — o wiele więcej, niż to zazwyczaj przypuszczamy — tkwi tutaj we wszystkich rzeczach tego świata. I doprawdy staniemy osłupiali, ile jest wokół piękna, ładu i harmonji.

Zwykła wiedza tradycyjna oraz prawo ludzkie uczą nas, że nieprawość winna być zwalczana. Ale kto myślał walkę do świata wprowadza, ten walkę z niego z powrotem otrzyma. Wielu z naszych współczesnych, w partje połączonych, sprawują wiecznie jakiś pochód krzyżowy przeciw innym partjom; klasa z klasą się ściera, rasa z rasą i naród z narodem. Wyklęcia i potępienia

grzmią z trybun i kazalnicy. Wszędzie, we wszystkich, w nas i w innych, gorzkie powstają uczucia. Praw przeciwko złemu wymierzonych, nie brak nam bynajmniej, tylko wytępić zła jednak nie możemy.

Całe szeregi wieków szliśmy tą właśnie drogą? Ale czy z powodzeniem? Czy w poczynaniach tych zawsze był nam doradcą wielki Duch Świata, który wie sam jeden, co złe a co dobre? Czy też raczej my ludzie w pysze swojej i zarozumiałości wyobraziliśmy sobie, że sami najlepiej wszystko wiemy i rządy nad sobą sprawować potrafimy?

W dwojaki sposób człowiek swe siły trwoni: trwonienie sił fizycznych oznacza trwonienie sił duchowych. I wyczerpanie bywa też podwójne. Kto w rozdrażnieniu kładzie się spać wieczorem, ten, zbudziwszy się rano, czuć będzie na sobie taki sam, jak wieczorem, ciężar pierwiastka destrukcyjnego. Duch pełen pośpiechu i niepokoju w czasie snu ciała łączy się z rozkładowym pierwiastkiem pośpiechu i niecierpliwości. A siłę, którą my w ten sposób marnujemy, adept wiedzy indyjskiej, przeciwnie, zachować umie, a nawet ona to właśnie daje mu te zdolności, w które my mądrzy ludzie Zachodu,

nie wierzymy i które dla wielu z nas są „nadnaturalne.“

A przecież we wszechświecie albo naturze niema nic „nadnaturalnego.“ Jest natomiast i w przyrodzie, i w nas samych wiele, bardzo wiele rzeczy, własności i zjawisk, o których nic nie wiemy.

Każdy z nas prawdopodobnie przywykł przez całe życie w ten albo inny sposób siły swoje trwonić i stał się niewolnikiem tego przyzwyczajenia swego. Wobec tego na nic nie przyda się tutaj występować z jakimś bezwzględny nakazem: „Masz się natychmiast wyzbyc tych przyzwyczajzeń!” Albowiem samych siebie wyprzeć się nie możemy. Jedynie Wszchemoc zdolna jest nowego tchnąć w nas ducha i od przyzwyczajzeń naszych nas wyzwolić. Musimy przeto żądać tego od Niej. Nie możemy na oczekaniu odwrócić marnowania się w nas sił. Przyzwyczajenia, których nabywaliśmy przez całe długie lata, tylko stopniowo przezwyciężyć można. Niepodobna z dnia na dzień pozrywać stosunków nieodpowiednich dla nas, choćbyśmy najdokładniej zdawali sobie sprawę, ile sił tracimy przez nie nadaremno. Nie sposób, aby w jeden dzień zmieniły się usposobienia nasze, skłonne do nienawiści.

Błąkamy się w niewiedzy. Ale z tej racji potępiać nas, jako „nędznych grzeszników“, nie wolno. Przecież tych błędów swoich stale się pozbywamy. Skoro nam raz już otworzą się oczy, codziennie poznajemy jakąś nową wadę z pośród tych, którymi jesteśmy obarczeni.

A poznać błąd — to stać się z istoty niższej wyższą.

Sam z siebie człowiek nie zdoła stworzyć wyższej ekonomji sił; ale gdy uświadomi sobie, jak bardzo te siły trwoni i marnotrawi, może wówczas zażądać od Nieskończonej Świadomości, aby innego ducha tchnęła weń — nowego, pełnego spokoju. I stać mu się może wedle pragnień jego. Krew, ciało kości, mięśnie doznają odnowienia. I człowiek cały nową stanie się istotą. A umiejętne gospodarowanie siłami jego — ich ekonomja będzie dlań czemś równie prostem i naturalnem i łatwem, jak oddech.

S I Ł A

Gdyby wynaleziono lekarstwo, któreby zażywającym je zapewniało moc i stałość charakteru, silną wolę, dzielność oraz wpływ na innych — dopierożby lekarstwo takie znalazło tu odbył!

Otóż zauważ sobie: to wszystko — siłę, dzielność, charakter — osiągnąć i utrzymać możesz, bylebyś ducha swego zdołał zachować w pewnym określonym stanie!

Musisz stale w duchu mieć pragnienie siły!

Pragnienie czegoś jest już siłą, która to coś — ku pożytkowi czy ku szkodzie naszej — zdobywa dla nas.

Siła jest substancją wprawdzie niewidzialną, lecz równie rzeczywistą, jak wszelka widzialna.

Im więcej chcesz jej osiągnąć, tem bardziej potęgujesz w sobie zdolność przyciągania substancji siły. Albowiem podobne przyciąganie podobne: zdanie to jest prawdą o wszystkich widzialnych i niewidzialnych elementach

Kulki żywego srebra łączą się i zlewają w jedną masę. Drzewa tego samego gatunku rosną razem. Owce garną się do owiec, a nie do krów lub koni; włośczęgi — do włośczęgów.

Słaby, małoduszny, zniechęcony do życia człowiek, niezdolny do żadnego śmiałego porwy, zrzesza się z podobnymi sobie, a mąż o zdecydowanej woli czynu znajdzie napewno towarzyszy tego samego co on ducha.

Czem jest siła?

Jeżeli zdolny jesteś zachować energję, zaufanie do siebie i zapał dla swych planów wbrew wszelkim prostorogim i krzyworogim diabłom, które ci kłody pod nogi rzucają, to znaczy, że masz siłę.

Jeżeli zaś łatwo zniechęcasz się, opuszczasz i po kilku próbach dajesz za wygraną, to siły nie posiadasz.

Przekupień domokrażny, co od drzwi do drzwi idąc, choć go z niechęcią odprawiają, choć go ofukną nieraz, a czasami mu nawet zatrzasną drzwi przed nosem, mimo to niezrażony i w dobrym wciąż humorze towar swój precz zachwala i do kupowania go co chwila odnowa zachęca — taki przekupień ma naprawdę siłę; zostanie on z czasem kupcem na wielką skalę.

Uporczywa, żelazna siła Cyrusa West Fielda zdołała to osiągnąć, że kabel transatlantycki jednak w końcu założono, pomimo iż niepowodzenie zrazu szło za niepowodzeniem, zrywały się i pętały druty, łamały urządzenia, a zrozpaczeni udziałowcy wrzaskliwymi obelgami inicjatora obrzucali.

Zaletą Fielda była ta właśnie siła ducha, która to wszystko zmogła. Wszelka wogóle siła, która, przedsięwzięcie jakieś uplanowawszy i założywszy, do szczęśliwego je doprowadza końca, jest zawsze tylko siłą natury duchowej. A rdzeń, podstawa i źródło takiej siły leży w wytrwałem, pełnem spokoju postanowieniu: **chcieć mieć siłę!**

Albo innemi słowy leży ona w tem, że oto, człowiecze, wiesz, iż jesteś stale wzrastającą siłą, że czujesz, iż nią jesteś, i siebie samego, jako tę siłę, oczami ducha swego widzisz.

Siła jest zdolnością do szybkiego otrząsania się ze zniechęcenia. Siła jest tą mocą która po nocy, spędzonej w łzach rozpacz, napełnia cię nową nadzieją i otuchą: która cię darzy nowemi pomysłami, nowemi planami, otwiera przed tobą nowe możliwości i nowe widoki.

Siła—to zdolność, która sprawia, że się otrząsas z bezpłodnego przeżuwania gorzkich re-

fleksji o błędach swoich i rozczarowaniach, że znów nabierasz ducha i, prowadzony przez nią za rękę, pewnym krokiem na drogę powodzenia wchodzisz.

Siła to właśnie, a nie co innego, wzrok twój ku szczęściu kieruje, a zawody przed tobą przesłania. Tym najważniejszym z pierwiastków rozporządza każdy, komu się powodzi.

I zawsze będzie to siła duchowa — innej nie ma — ktokolwiek nią się posługuje, człowiek najlepszy czy najgorszy, samarytanin czy też faryzeusz, kółko plociuchów, kobiecych czy męskich, co obgaduje czyjś charakter tak, aż zeń strzępy lecą, i ten sposób posyła obgadywanemu prąd duchowy wielce dla niego szkodliwy (bo i to też jest siła), czy też grono szlachetnych przyjaciół, co w rozmowie dobra całego świata pragną.

Możesz, samotnym będąc, coraz więcej siły otrzymywać, jeśli jej pożądasz. Lecz kiedy błagasz o nią pospołu z innymi, w prawdę i prawo wierzącymi, wówczas otrzymasz jej o wiele więcej. A im was będzie więcej, tem bardziej zostanie wysłuchane wasze wspólne wołanie o siłę. Chrystus powiedział kiedyś: „Gdzie dwóch lub trzech zbierze się w imię moje, tam będę między nimi“.

Siła jest pierwiastkiem, strach odpędzają-

cym — pierwiastkiem, który nam daje zachowanie się pewne siebie. Gdy ją pomnożysz w sobie, możesz dać odpór wszystkim, którzy cię zastraszyli kiedyś i poniżyli, korzystając z przeważającej swojej, a tyrańskiej woli. Albowiem wola tyranizowania zmobilizowana zostaje na tym świecie przeciwko każdemu, kto się wybić pragnie.

A jakkolwiek życzliwym i łagodnym dla innych będziesz, jeżeli brak ci siły, by im się opierać i mocno stawać w obronie praw swoich, jeżeli wytrąca cię z równowagi śmiech wzgardliwy i ofuknięcie lub groźne brwi zmarszczenie, wybić się tu nie zdołasz i nie uzyskasz nawet tego, co ci się słusznie i z prawa należy.

Siła jest pierwiastkiem, który ci pozwoli, w razie nagłego, ciężkiego wypadku, nieszczęścia lub niepowodzenia, odzyskać równowagę, przyjść do siebie, zapomnieć o wszystkim złem, które cię spotkało, i z otuchą nanowo kroczyć dalej po drodze życia.

Siła — to element, przed którym musi w końcu ugiąć się materia.

Dlaczego siła zostaje nam dana, gdy jej się domagamy w duchu albo modlimy się o nią, jest to tajemnicą i tajemnicą pewnie na wieki pozostanie. (A pamiętajmy, że nie jest to bynajmniej

rzeczą pożądaną zajmować się wiecznie zgłębianiem tajemnic. Zagadka życia staje się z dniem każdym bardziej nieprzeniknioną; a ten, kto ją zbadać i przeniknąć pragnie, próbuje dotrzeć aż do granic bezgranicza!). Nam wystarczy, gdy wiedzieć będziemy, co jest dla nas dobre i potrzebne dzisiaj, w tym dniu i godzinie: jest pomiędzy nami zdumiewająco mało takich, którzyby choć okrusz tej właśnie najbliższej wiedzy posiadali. Prawdą zaś jest, że przez prostą prośbę o siłę możemy siłę tę osiągać w rozmiarach coraz większych. A nawet więcej, bo do rzeczy osiągalnych dla ducha ludzkiego i to należy, że człowiek do tego stopnia może napełnić się siłą, iż zdoła całkowicie poddać świat materialny pod wpływ swojej woli i stać się światu tego niepodzielnym panem.

Najgłębsza prawda kryje się w słowach Pisma, że kto ma w sobie wiarę, jak ziarnko gorczyczne, rzec może do góry, aby się przed nim usunęła, a usunie się — lub że moc posiadamy, by zdeptać skorupjony.

Widok potężnej maszyny parowej w ruchu budzi w nas entuzjizm—widok, jak całe tonny żelaza, których setki ludzi unieśćby nie zdołały, wznoszą się i opadają z prędkością kau-

czuku. Entuzjazm w nas budzi spadek wód Niagary... Albowiem ukochanie siły i potęgi leży w naturze ludzkiej. Gdy pogrążamy się w kontemplacji takich potężnych widowisk, duch nasz jednoczy się niejako z elementem siły i coraz więcej z niego w siebie wchłania.

Nasz entuzjazm dla siły jest też zarazem naszym pożądaniem siły, naszą prośbą, naszą modlitwą o siłę — modlitwą, która w tym samym momencie zostaje wysłuchana. Pozornie bezcelowe przyglądanie się nad morzem, jak fale wzbierają, piętrzą się, nadpływają i tłuką o ściany skał nadbrzeżnych, z ogromną jest dla ducha naszego korzyścią. Uczucie odpoczynku, spokój i marzycielski nastrój, którym cię morze darzy, świadczą, że wchłaniasz w siebie pierwiastki jego siły. Właściwości jego ducha wstępują w ciebie; a kiedy odjedziesz, przekonasz się dopiero, że ono siłą cię obdarzyło, którą zużytkować możesz w niemającym pozornie z morzem nic wspólnego zawodzie twoim.

A nocą, gdy choćby na chwilę wznosisz oczy ku sklepieniu nieba z jego morzem gwiazd bez liku i gdy usiłujesz uprzytomnić sobie, że są to wszystko słońca, około których krążą jakieś inne ziemie, gdy wyobrażasz sobie, jak to ta

cała w jedno zebrana siła wszystkich Niagar, oceanów, prądów na naszej planecie, w porównaniu z siłą, która tam w górze działa w przestworzach nad nami, nie więcej stanowi, niż znikoma energia brzęczenia skrzydeł musich,—wówczas przeżywasz również bogatą w skutki chwilę istotnego zstępowania na cię upragnionego elementu siły.

I to jest właśnie droga do jej osiągnięcia. O siłę błagasz wówczas we wszystkich tych momentach entuzjizmu dla niej. Albowiem wszelki podziw pełen jest oddania się temu, co podziwiamy, a tem samem adorację stanowi, modlitwę i jedynie skuteczne, istotne błaganie. Adoracja wszelka jest zawsze pożądaniem i domaganiem się dla siebie istoty tego, co w adorowanym przedmiocie podziwiamy.

A w ten oto sposób znasz drogę do siły.

S P O K Ó J

Spokój jest własnością ducha, której nabyć można i stopniowo rozwijać ją w sobie coraz bardziej.

Zapamiętaj to zdanie. Spraw, aby te słowa, że spokoju można nauczyć się, rzucały ci się w jakiś sposób w oczy, aby coś zewnętrznego przypominało ci je stale.

Myśli tej potrzebuje duch twój — musisz ją w sobie ugruntować, niejako zasadzić ją tak w twojej duszy, aby w niej korzenie zapuściła i wzrastać mogła. Powoli, nieustannie.

A szkołą spokoju i siły musisz być sam dla siebie. Możesz się w nich ćwiczyć od samego rana, od chwili, gdy wstaniesz i zaczniesz się ubierać. Spokojem mogą — a więc i powinny być nacechowane — twój chód, sposób jedzenia, sposób otwierania drzwi. Nic nie jest tak drobne, aby nie zasługiwało na wysiłek wykonania ze spokojem.

Spokój niech ci się przyzwyczajaniem sta-

nie, niech ci wejdzie w nałóg, drugą naturą twą się zrobi.

Istnieje prawo zdrowego snu w dzieciństwie i prawo niezdrowego snu w wieku dojrzałym, a może nawet już i w wieku młodym. Prawom podlega wszystko. Według praw zachodzi zarówno upadek, jak i normalny rozwój.

Wieczorem nie układamy na spoczynek naszego istotnego „ja“, lecz tylko ciało nasze: to tylko to narzędzie, którem posługujemy się w świecie fizycznym, wymaga odpoczynku. Gdy ciało wypoczywa, duch nowych sił nabiera; poczem, powróciwszy, sił tych udziela ciału—lecz tylko o tyle, o ile umieliśmy urzeczywistnić w sobie stan snu istotnego *).

Dwojaki bywa sen: zdrowy, który krzepi i odświeża ciało, i niezdrowy, pełen gorączkowego niepokoju, z którego ciało wstaje z niewielkim zapasem sił. Duch nasz na jawie posługuje się ciałem, jako swem narzędziem. Gdyby to czynił nieustannie, zużyłby je wkrótce, bo bezsenność siły fizyczne wyczerpuje.

Gdy śpisz, duch twój również działa, czuje, myśli, lecz zdala od ciała. I wtedy może prze-

*) Ob. szkic „Tajnia snu, czyli nasza podwójna egzystencja“ w książce Mulforda „Przeciw śmierci“ przełożył St. F. Michalski. W-wa Trzaska Evert i Michalski.

bywać w krainie zdrowej lub niezdrowej. Gdy bawił w zdrowej, ściągnie do ciała siłę myśli zdrowych, które je pokrzepią; z niezdrowej—niezdrowe sprowadzi pierwiastki. Stąd jest tak ważną rzeczą to, w jakim duch twój znajduje się stanie, gdy na spoczynek udajesz się wieczorem.

Nie bywaj wtedy gniewny ani rozdrażniony! Nie bądź pełnym niechęci ani nienawiści do nikogo! Nie bądź zniechęcony, zrozpaczony ani beznadziejny! Nie dręcz się ciężkimi myślami! Nic nie rób!

Czasami duch nasz, gdy wypoczywamy, czynniejszy jest, niż kiedykolwiek indziej, pełen planów, projektów, trosk, udręki. To oczywiście męczy ciało i rodzi bezsenność na długie godziny. A wtedy duch tembardziej bywa czynny, jako że go nie absorbuje beczynnienie wypoczywające ciało.

Idąc na spoczynek, powinieneś rozbrat wziąć z wszelkiem myśleniem i nastawić się cały tylko na jedno: spokój i wytchnienie! To słowo „spokój“ powtarzaj sobie w myśli, już gdy się rozbierasz. Za słowem bowiem przyjdzie wyobrażenie o spokoju, zmieni stopniowo kierunek twojego myślenia i jego

stan, nawiąże kontakt między tobą a elementem spokoju w bycie.

Bylebyś tylko wytrwał!

Przewyciężanie bezsenności trwa czasem miesiącami; lecz skoro już raz ją w ten właśnie sposób zmożesz, a nie na drodze lekarstw, pozbedzisz się jej już na zawsze. Osiągniesz źródło siły — i to tak potężne, jakim są sen i spokój.

Potemu jednak trzeba, kiedy nastanie pora wypoczynku, zgasić w sobie wspomnienia zainteresowań, walk, kłopotów i trosk dnia przeżytego. Trzeba stanąć do nich w tym samym stosunku, co dziecko do odmętów poprzedniego wcielenia swej istoty.

Dziecko bowiem jest duchem, który wstępuje w życie fizyczne w nowem ciele. Jakież to mądre urządzenie, że my — twory niedoskonałe, tak niewiele sił mające do panowania nad samymi sobą i do oddalania od siebie tego co nieprzyjemne — nic tu nie wiemy o tem, cośmy wycierpieli w poprzedniem życiu! W przeciwnym razie, już jako dwulatki rozpoczynalibyśmy nasz ziemski żywot od tych samych trosk i zmartwień, z którymi borykaliśmy się, jako siedemdziesięcioletni starcy.

Podobnie więc należy, o ile możności, odrywać się myślą od znojów dnia w chwili, gdy

się na sen idzie i pragnie się naprawdę sił i spokoju zeń zaczerpnąć.

A jednym z najlepszych potem sposobów jest ufność. Niegdyś, dziećmi będąc, mieliśmy całkowite, bezwiedne zaufanie do naszych rodziców, którzy karmili nas i odziewali. Lecz gdy sami o siebie zaczęliśmy się troszczyć, przyszła praca i te kłopoty różne, które też nieopatrnie na sen ze sobą zabieramy. I nie ufamy już teraz nikomu. I to jest jedna z przyczyn bezsenności naszej. Ale przecież zawsze i wszyscy jesteśmy częstkami Nieskończonej Świadomości, której możemy ufać...

Najlepszy wypoczynek, a wraz z nim i siły daje nam zmiana pracy, przechodzenie od jednego zajęcia do drugiego. Wciąż to samo zajęcie—w dzień i w nocy, rano i wieczorem — bynajmniej nie jest tak wydajne, jak mogłaby być praca, gdybyśmy dawali duchowi naszemu należyty wypoczynek i zapomnienie. W ducha, gdy spoczywa, nowe wstępują myśli i nowe siły do ich urzeczywistniania. A nowa myśl jest warta, by na nią poczekać.

Lecz cóż, obecnie zdarza się tak często, że pracę zawodową albo interesy prowadzi się aż do późna w wieczór, a nawet do późna w nocy; dlatego też, nawet gdy już ciało do snu się

ułoży, duch pozostaje dalej w niewoli u zajęć dziennych i wypoczynku zaznać nie jest zdolny. Gdy uda się nam w końcu zasnąć i gdy nasze zmysły fizyczne utracą świadomość swych funkcji, to i wtedy jeszcze pracują wciąż dalej nasze subtelniejsze, bo duchowe zmysły. A taki sen mało lub nic nam nie daje, dostarcza on bowiem ciału tylko już zużytej materji myślowej — tej samej, co za dnia. W takich wypadkach, że się tak wyrazimy, przyodziewamy rankiem fizyczną istotę naszą, nasze ciało w stary garnitur myśli, zamiarów, poglądów i trosk dnia wczorajszego; nocy i jej działania odświeżającego jakby nie było dla nas.

Co przeciw temu robić?

Jeden jest tylko środek: więcej wytchnienia i różnaitości, więcej barwności w życiu, częstsza zmiana w zajęciach, kilka „ja“ w jaźni naszej! Aby osiągnąć możliwie największe bogactwo życia — szczęście, musimy prowadzić jednocześnie dwa, trzy, a nawet cztery żywoty naraz: rano być kupcem, inżynierem czy artystą, a po południu sportowcem, tak aby popołudnie nasze nie pamiętało o człowieku z przedpołudnia. W ten sposób kupiec, inżynier czy artysta będzie mógł w nas wypocząć, odświeżyć się

i z nowymi siłami, z nowymi pomysłami przystąpić do prac dnia następnego.

Tak robią w rzeczy samej najmądrzejsi z pośród naszych kupców, ci właśnie, którym towarzyszy największe powodzenie w interesach. Opuszczają oni biura swe i kantory o wczesnym popołudniu, aby się całkowicie oddać wypoczynkowi, choćby nim miały być tylko przechadzki.

Zapamiętaj też sobie, że gdy sił nabrać pragniesz przez spokój, sen, spoczynek, nie powinienś sypiać w tym samym pokoju z człowiekiem ci bliskim, który cię obchodzi, a który jest pełen trosk, gniewu i niepokoju albo zniechęcenia i w tym stanie umysłu spać się kładzie. Jego obecność ściągnie, że się tak wyrażę, na niższy poziom życiowy i twego ducha również. Nie będziesz wbięrał w siebie tego zdrowego pierwiastka spokoju, któryby przenikał do twojej istoty, gdybyś spał sam jeden. Choć może o tem nic wiedzieć nie będziesz, ale towarzysz taki będzie ci przeszkadzał i wstaniesz rano nie tak, jak kiedyindziej, świeży i wypoczęty. Nie jest to właściwy sposób na wzmaganie w sobie sił żywotnych.

Podobne przyczyny ma i ten fakt dość powszechnie znany, że ludzie młodzi, śpiąc w jednym pokoju ze starymi, szkodzą sobie. Czło-

wiek stary bowiem bierze coraz mniejszy udział w sprawach tego świata, jako że sam sobie wydaje się za stary, aby móc jeszcze czegoś się nauczyć. Ludzie w swym braku rozumu wierzą przecież, że zniszczenie ciała to zniszczenie życia. Otóż ludzie starzy zużywają niejako świeższy duchowo świat — fluid ludzi młodych — i w ten sposób bezwiednie przyswajają sobie urok młodzieńczości.

Albowiem zauważ i zapamiętaj sobie: prawdziwa młodość od wieku ciała nie zależy—prawdziwa młodość to nieustanna siła i żywotność ducha, to coraz ściślejszy kontakt ze sprawami i celami ludzkości całej, to coraz płomienniejsze w dal i wzwyż dążenie. Jedną z przyszłych możliwości życia ludzkiego na ziemi będzie polegała na tem, że ten stan duchowej młodzieńczości, gdy go się raz osiągnie, nieustannie już będzie wzmacniał nasze ciało, odnawiał je i odmładzał.

Ciało posiada życie własne, zupełnie odrębne od ducha, którego jest narzędziem. Podobnie jak roślina, przechodzi ono młodość, wiek dojrzały i starszy wiek upadku. Pierwszy z przeżywanych przez nie stanów fizycznych — młodość jest dla życia w tobie pomocą, dla ducha twego — siłą, lecz żywotność młodzieńcza pomaga duchowi tylko w ten sam sposób, w jaki

służy mu jakaś substancja chemiczna, w charakterze lekarstwa na słabość lub chorobę. Przytem tego rodzaju pomoc, dawana duchowi przez ciało, trwa zaledwie czas pewien, jeżeli jej siła ducha nie odmawia. Tam zaś, gdzie brak wiedzy, w jaki sposób tę siłę odnawiać należy, ciało — jak wszelki inny ukształt materjalny — rozpada się, niszczeje.

Jest w nas podświadoma jakaś, lecz silna wiara w rzeczy nieprawdziwe. Nie podajemy ich nigdy w wątpliwość, nigdy nam to nawet na myśl nie przychodzi. Stanowią one rodzaj rdzy na naszym życiu. I nie co innego ostatecznie, jak tylko one, te zakorzenione w nas nieprawdy, są źródłem wszelkich cierpień i chorób naszych.

Lecz wystarczy, abyśmy raz te stare nieprawdy zakwestjonowali, a panowanie ich się skończy.

Gdy jeszcze dzieckiem byłeś, nauczono cię wierzyć w tego czy innego „stracha“. Bałeś się wskutek tego wchodzić do ciemnego pokoju i innych tym podobnych doznawałeś lęków. Ta wiara w „strachy“ trwała w tobie lat wiele i słabła stopniowo, aż wreszcie jej się wyzbyłeś całkowicie. Lecz ongi, gdy sam jeden znalazłeś się w ciemnościach, sprawiała ci ona przykrość poprostu fizyczną: na myśl

o „strachu“ dostawałeś „gęsiej skórki“, drżałeś, robiło ci się słabo — a to wszystko z racji czegoś, co wcale nie istniało. Gdybyś wtedy naprawdę był zobaczył „stracha“, gdyby ktoś naprzykład przebrał się był za niego, mogłeś być w rzeczy samej chorobą to przeplącić. A przecież byłoby to tylko urojenie — przyczyną twojej realnej choroby byłoby proste wyobrażenie o czymś, czego nie było zgoła.

Otóż taka sama silna wiara w „stracha“ powoduje u ludzi dorosłych zupełnie analogiczne skutki. Albowiem takiego „stracha“ właśnie uczyniło nieporozumienie z usiłowań, zmierzających do odnowienia ducha, i „strach“ ten, działając po przez ducha, niszczy wreszcie ciało. Duch bezwzględnie wymaga od ciała spokoju, gdyż potrzebuje wszystkich sił, jakie tylko ma do rozporządzenia, aby się móc odnowić. Występuje on z tem żądaniem swoim wobec człowieka, który żyje poprostu bez chwili wytchnienia i ten niespokojny tryb życia prowadzi może już od lat dziesiątków. A nie mogąc inaczej, zmusza go do spokoju poprostu w ten sposób, że ciało w nim łamie i chorem je czyni.

Podczas procesu odnowy powinniśmy stać się naturalniejszymi w przyzwyczajeniach swoich i sposobie życia. We wszystkich zjawiskach

natury, w zwierzętach i roślinach—o ile tylko człowiek nie wtrącił się do nich i sztucznie ich nie zniekształcił—widzimy przejawy Nieukończonego Ducha, Nieukończonej Świadomości, jakkolwiek nie są to najdoskonalsze Nieukończoności objawienia. Wszystko rozkwita jednak ku coraz większej doskonałości i rozkwitaniem tem kieruje wola Nieukończonego Ducha, nie zaś wola ludzka.

Tam, gdzie ludzka fuszerka wtrąca się do natury, powstają rzeczy całkiem niedoskonałe, poronione. „*Tout dégénère entre les mains des hommes*“! tak już Rousseau nauczał. Ptak dziki i ptak oswojony — oto przykłady tego, czem jest natura, a czem sztuczność. Dziki ptak jest taki, jakim wyszedł z rąk Nieukończonej Świadomości. Gdy człowiek nim się zajął, pozbawił go zaraz siły i chyżości, piękności, a często i inteligencji. Wyjątki tutaj tylko regułę potwierdzają.

Inteligencja, instynkt i duchowość są dla mnie tem samem. Jest w nich mądrość, której źródłem nie są książki, lecz Duch Nieukończony. Mądrość ta objawia się w mniejszym lub większym stopniu we wszystkich kształtach świata materialnego. Minerale, roślina i robak jednako o niej świadczą: naj-

drobniejsza istotka żywa i najwyższa istota, jaką znamy — człowiek — są jej pełne.

Wszelako nie we wszystkich ludziach objawia się ona jednakowo. Człowiek dzisiejszy posiada jej w sobie mniej, niż człowiek przyszły posiadać jej będzie. W przyszłości bowiem człowiek nie będzie już umierał. Osiągnie on szczęście, i spokój, i siłę, do których dziś tak tęskni, a które tu jeszcze tak rzadko znajduje.

Człowiek przyszły żyć będzie we wciąż rosnącym szczęściu, ponieważ ujrzy jasno niewyczerpaną siłę ducha i mądrości, i ta właśnie siła będzie w ruch wprawiała i ożywiała zarówno jego, jak resztę stworzenia. I wiedzieć będzie ten człowiek przyszłości, że wystarczy, aby się powierzył tej sile dobrego, a od radości do radości ona wieść go będzie.

Czyż wszystkie wynalazki i cały dotychczasowy postęp cywilizacji uczynił człowieka zdrowszym i szczęśliwszym? Czy walka o byt złagodniała dzisiaj i mniej jest bezlitosna, niż przed lat tysiącem? Czy choroby i cierpienia nie srożą się dokoła? Czy każdy z nas nie przeżywa raz po raz strat, opuszczenia i rozczarowania? Niewielu, niewielu jest zaiste takich, którzy powiedzieć mogą: „Życie moje wolne jest od troski, niepokoju, miłości własnej i niezaspokojenia.

Życie moje to błogie i zadowolone ze siebie marzenie. Życie moje, od wschodu do zachodu słońca, to szereg miłych godzin. A nawet więcej niż to: dni mojej szczęśliwości — wiem — nie tylko trwać będą, ale ich spokój i radość wewnętrzna stawać się będzie coraz głębsza, coraz intensywniejsza. Nie znam troski o jutro, bo tę wielką siłę już wypróbowałem. Darzyła ona szczęściem wszystkie me dni dotychczasowe—o całą przyszłość swoją również spokojny jestem“.

Tak, gdy w ręce tej siły powierzy się człowiek, więcej wtedy, niż zwykłym, stanie się śmiertelnikiem. Nie będzie potrzebował siał ani zbierać ani budować maszyn. O trudach i znojach wiedzieć będzie równie mało, jak ten ptak dziki, o którym przed chwilą mówiłem. Kwitnienie duchowe będzie dawało mu siły, które przewyciężą to, co nas dziś krępuje, jako znój i troska.

W procesie odnowy duch nasz jednak (lub nasze „ja“ wyższe) od ciała swego więcej snu wymagać będzie. Zażąda, aby noc służyła tylko i wyłącznie snowi. A działalności cielesnej niech pora dzienna służy. Świat bowiem materialny za dnia jest najwięcej przez materialną siłę słońca poruszany. Gdy siła ta znika, gdy noc schodzi na nas, panować zaczyna wówczas inna

siła. Jest to siła ducha. Z niej najlepiej wzmocnienie na świat materji spływa, właśnie gdy działalność materjalna ustaje w śnie spoczynku.

Gdy człowiek wieczorem układa się do snu z mocną wolą niewiedzenia, co to niepokój i troska, i gdy w milczeniu żąda od Nieskończonej Świadomości, aby pozwoliła mu osiągnąć w końcu mądrość najwyższą i szczęście, może wtedy dostąpić snu, który go naprawdę do głębi odświeży. A zdrowy wypoczynek w nocy daje zdrowy spokój ducha i siły we dnie. Tego zaś stanu ducha — tego spokoju właśnie dzisiejsze pokolenie nasze najbardziej potrzebuje.

Spokój — to nie powolność, bezwład lub nicnierobienie. Jest to raczej znajdowanie radości we wszystkim, co się robi. W spokoju każdą czynność z większą wykonywamy siłą. Spokój wyklucza wyczerpanie. Czyni on przyjemną każdą pracę, bo każdą pozbawia jej stron uciążliwych.

Spokój oznacza pewne nerwy i niezawodną rękę, czy to gdy o rysownika chodzi, czy o strzelca, albo marynarza, manewrującego linami i żaglami hen! na zawrotnej wysokości masztów. W spokoju wszystko czyni się z doskonałą, miłosną troskliwością. Spokój wreszcie pozbawia nas zmysłu dla tak szybko, tak

gorączkowo mijającego czasu. Spokój — źródło siły.

Ludzie osiągają niekiedy ten spokój, a z nim i siłę, przez użycie alkoholu, przetworów opjum lub innych narkotyków. Ale w ten sposób osiągnięte własności te są sztuczne, przelotne, a mijając, pozostawiają po sobie następstwa w postaci równie głębokiego smutku, jak wysokiem było wywoływane przez nie poczucie błogości. Spokój naturalny natomiast utrzymuje się zawsze na jednakowej równi szczęścia. A Siła Najwyższa, Świadomość Nieskończona, Duch Dobrego, coraz cię wyżej ku szczęściu wznosić będzie, bylebyś szczęścia tego potrafił się odeń domagać, jak należy — godnie i wytrwale.

PRZYPATRZCIE SIĘ LILJOM POLNYM...

Do każdego chciałbym kazanie mieć na temat tego wersetu z Pisma: „Przypatrzcie się liljom polnym, iako rosną: nie pracują, ani przędą. A ja wam powiadam, iż ani Salomon we wszystkiej sławie swojej nie był tak przyodziany, iako iedna z tych“.

Słowa te nie zawierają nic, coby komukolwiek mogło być nieprzyjemne. I ja też nie zamierzam wygłaszać kazania przestrzegającego ani tembardziej grożącego — kazanie moje będzie kazaniem, wlewającym do duszy nadzieję.

Świat dzisiejszy nadziei — więcej nadziei potrzebuje. Świat jest dziś przygnębiony. A to przedewszystkiem dlatego, że wszelkie kazania w przeszłości mówiły nam tylko, jak my źli jesteśmy i co nas wszystkich czeka, gdybyśmy trwali w złości swojej.

Tak mało nam natomiast powiadano o tem, że i dobroci i siły wiele w sobie mamy. Byliśmy źli istotnie, lecz przedewszystkiem przez

to, że tylu kaznodziejów źle o nas myślało, a pod ich wpływem i my też sami siebie za złych-żeśmy mieli. Ludzie zaś, którzy źle o sobie myślą, mogą nieomal przysiąc, że źle postępować będą. Albowiem złe postęпки idą za złemi myślami.

Pismo święte powiada: „Jak który człowiek myśli, takim jest!“ Stąd, gdy kto ma o sobie zdanie, że jest nędznikiem, to idzie i upija się, albo popełnia jakieś inne rzeczy niskie. Ta sama дума, która człowiekowi każe cenić samego siebie, broni go również od postępków nikczemnych i poniżających.

Nasze czasy doszły już dzisiaj do tego, iż uświadomiły sobie w całej pełni ten fakt niezaprzeczony, że każdy — mężczyzna zarówno jak kobieta — jest w posiadaniu sił o wiele większych, niż te, o których wiemy; i że wystarczy, by mąż czy niewiasta umieli tylko z sił tych właściwie korzystać, a zdołają wy dobyć się z wszystkiego złego i osiągnąć wszystko dobre.

Lilja, czy inny kwiat albo roślina, rośnie i zdobi się stosownie do prawa wszechświata — zupełnie tak samo, jak to robi mężczyzna i kobieta; a mężczyźni i kobiety rosną i rośli od

niezliczonych wieków zgoła nie inaczej, niż czynią to lilje.

Wielki to błąd — przypuszczać, że jakikolwiek z ludzi zwyczajnych, normalnych jest rezultatem tego jednego jedyne­go, a tak krótkiego życia, które tu przeżywa. Wszyscyśmy już — i nawet nieraz — żyli: i może w postaciach najróżnorodniejszych: jako jakieś zwierzę, ptak, owad, wąż, roślina... To bardzo możliwe. Zarodek nasz powstał niegdyś na dnie morza; spoczywał, jak w kolebce, między górami lodowymi; z gardła wulkanów wylatywał wśród ognia, dymu i popiołu. Wszęchświatowy ocean nosił go i kołysał, i leżał on może wieki i tysiąclecia, ukryty w samym sercu jakiejś góry z okresu późnego pliocenu. Pełziliśmy wzwyż i pełzli, to w tej postaci, to znów w innej, i za każdą przemianą zyskiwa­liśmy zawsze na sile i rozumie, aż przybyliśmy wreszcie tam, gdzie dziś jesteśmy — jakkolwiek... nie łudźmy się, nie zaszliśmy przez to bynajmniej aż tak znów daleko.

Lilja posiada pewne, sobie właściwe życie i pewną swoistą inteligencję. Lecz tutaj przewiduję, czytelniku, sprzeciw z twojej strony; co do inteligencji lilji nie jesteś być może — a nawet z pewnością nie jesteś mego zdania. Wszak większość ludzi sądzi, że „inteligencja“

jest przywilejem gatunku ludzkiego, gatunku „Homo sapiens“, to zaś wszystko, co ją w zwierzęciu albo roślinie przypomina, jest tylko „instynktem“.

Ja, przeciwnie, jestem najgłębiej przekonany, że inteligencja to coś tak powszechnego i wszystkiemu żyjącemu wspólnego, jak powietrze, i że tylko pewne postacie, pewne formy życia zawierają jej więcej, aniżeli inne. Ze wszystkich twórców, żyjących na ziemi, człowiek ma jej najwięcej; to znaczy, że ma najwięcej tego, co zwiemy „myśleniem” — czyli pewnej niesłychanie subtelnej, a potężnej substancji, niewyczuwalnej i niedostępnej dla zmysłów zewnętrznych,

Otóż im więcej kto tej substancji posiada, tem więcej jest w nim życia. Ludzie myślący, jak wiadomo, najdłużej żyją. Lecz mówiąc o ludziach myślących, nie rozumiem przez to wcale t. zw. uczonych lub molów książkowych, z tych bowiem wielu zgoła nic nie myśli. Nazwę ludzi myślących nadaję tylko tym, którzy niejako sami z siebie otrzymują myśli wciąż nowe i twórcze. Ten rodzaj życia lub myślenia (bo to zamienne nazwy) odnawia i ciało i ducha.

Lilja ma dosyć inteligencji na to, aby wyjść z nasionka, gdy ono spocznie w ziemi i słońce

zawoła na nie. A człowiek posiada ten sam rozum (albo przynajmniej powinienby go posiadać), aby w piękny dzień iść na słońce i wbierać w siebie moc i życie, którem go ono darzy. Gdy tego nie robi, gdy pięć szóstych życia przepędza w pokoju, no to jest właśnie słaby i blady, jak te pędy, które kartofle puszczają w piwnicy.

Lilja ma dalej dość rozumu na to, by w słońcu wyrastać. Gdy ją hodować w mieszkaniu, rośnie zawsze od tej strony, od której wpada do pokoju światło. Czyni to ona poprostu dlatego, że światła potrzebuje. O tej potrzebie wie i jej zaspokojenia się domaga. Doświadczenie nauczyło ją, że światło dobrze na nią wpływa.

My z zupełnie tego samego powodu staramy się o pokarm, tylko że tę działalność naszą uważamy za wynik naszej inteligencji. Działalność zaś rośliny instynktem nazywamy. Człowiek podchodzi do ognia, aby się ogrzać, ponieważ czuje, że ogień jest dla niego dobry. Przyjemnie jest w dzień zimny czuć ciepły dech płomienia. Kot z tej samej racji wygrzewa się na słońcu. Lecz człowiek daje swojemu poczuciu nazwę „inteligencji“, gdy tymczasem zmysł tego kota lub rośliny nazywa „instynktem“.

W czymże tu jest różnica?

Otóż lilja w życiowej swej ograniczoności i przy ograniczonej swej inteligencji ma tę nad nami wyższość, że nie troszczy się ona i nie kłopotuje o to, co będzie jutro. Nie dręczy się ani nie haruje. Bierze sobie z wody, powietrza i słońca, z pierwiastków w nich zawartych, akurat tyle, ile jej potrzeba na tę właśnie minutę, godzinę lub dobę. Tyle, powiadam, i nie więcej. Nie pracuje na to, aby odłożyć sobie na jutro extra-zapas z wody, powietrza lub słońca, wiedzona obawą, że jutro tych rzeczy może przypadkiem zbraknąć — tak, jak to my robimy, pracując i przędąc i odkładając część zarobku na czarną godzinę, której się lękamy. Gdyby lilja również tak postępowała, musiałaby zużyć wszystką swoją siłę na nagromadzanie tych extra-zapasów i nie zdołałaby nigdy stać się tą doskonałą lilją, która blaskiem swym przewyższa Salomona w całej okazałości jego.

Lilja jest pełna siły i spokoju ducha.

Odzienie lilji, róży lub innego jakiegoś kwiatu przewyższa pod względem piękności, subtelności i delikatności tkanin wszystko, cokolwiek sztuka ludzka jest zdolna wytworzyć. Piękno naszych najcieńszych jedwabi i koronek jest

stosunkowo martwe. Zaczynają one rozpadać się i niszczyć, zaledwie je zrobiono. Piękno lilji natomiast rozwija się coraz wspanialej i wspanialej aż do chwili największego jej rozkwitu. Tkanina, któraby z dnia na dzień nabierała coraz świetniejszego połysku i codziennie miała inną, zmienną grę kolorów, byłaby niesłychanie chciwie poszukiwana, choćby te jej własności trwały zaledwie dwa tygodnie. Stroiliby się w nią ci ludzie rozrzutni, którzy właściwie utrzymują fabryki w ruchu, a pieniądze w obiegu — the upper ten thousands — te dziesięć tysięcy osób ze sfer najbogatszych, które zwykły płacić najwyższe ceny za najlepsze rzeczy.

Gdyby lilja ze swą ograniczoną inteligencją niepokoiła się i dręczyła obawą, że słońce może jutro nie wzejść, lub że nie będzie więcej wody, albo pieniędzy w domu lub węgla w piwnicy, zostałaaby z pewnością kwiatem bezradnym i przybitym, o smętnym wyglądzie. Zużyłaby wówczas na obawy i niepokoje wszystkie te siły, które obraca na gromadzenie i wchłanianie w siebie pierwiastków potrzebnych jej do tego, aby stać się lilją. Gdy duch albo inteligencja choćby w najmniejszym stopniu w ten sposób się kłopotają lub biorą na swe barki ciężar, prze-

wyższający „wymagania dnia powszedniego“, pozbawiają się same dobrowolnie zdolności zdobywania istotnie organizmowi potrzebnych ilości zdrowia, siły i powodzenia.

Mówiąc to, mam na myśli dosłownie to, co mówię, i po za słowami nic tutaj nie ukrywam, nie używam żadnej przenośni, metafory, ani alegorii. Jestem zdania, że podobnie jak w lilji jej ograniczona inteligencja albo siła ducha, — jeśli już tak ją komuś podoba się określać, — wolna od ciężaru wszelkiej troski o wszystko, co dotyczy jutra, wchłania w siebie jedynie te pierwiastki, których potrzeba jej na dzisiaj, — zupełnie tak samo i duchy ludzkie, gdy tylko wolne będą od troski i niepokoju, a pełne spokoju i siły, osiągną wszystko, czego potrzebują. Albowiem jedynymi istotnymi potrzebami są właśnie potrzeby chwili. Potrzeba ci na jutro śniadania? Prawda; ale przecież nie potrzebujesz już dzisiaj śniadania, które masz zjeść jutro. A tymczasem z pewnością dziewięciu z nas na dziesięciu jakoś już dziś się niepokoją o to jutrzejsze śniadanie. I w ten właśnie sposób pozbawiamy się sami w mniejszym lub większym stopniu siły, której potrzebujemy do rozkoszowa-

nia się dzisiejszem śniadaniem, do strawienia go i przyswojenia sobie jak należy.

Podobnie przeto, jak beztroskliwa lilja wchłania w siebie siłę, aby rosnąć i kosztem pierwiastków, czerpanych z otoczenia, pięknie się przyodziać, tak też i beztroskliwy duch ludzki, niczem się nie przejmujący, tysiąc razy więcej sił tych wбира w siebie, niż mu ich potrzeba na wprowadzenie w życie swych zamiarów i osiągnięcie szczęścia. Te siły tracisz z chwilą, gdy martwić się zaczynasz. A mam tu na myśli siły niezbędne do tego, aby dokonać czegokolwiek, czy będzie to kazanie, czy zamiatanie ulic, czy malowanie fresków.

Każdy kupiec wie, że najlepiej prowadzi interes swój wtedy, gdy może mu się oddać całkowicie z wykluczeniem wszystkiego innego, coby go od zajęć jego odrywało. Podobnież każdy artysta ma świadomość tego, że szczyt swój osiąga wówczas, gdy w danej chwili dzieło pochłania go całego i gdy ta chwila absorbuje wszystkie siły jego ducha. Wtedy tylko jest on zdolny poświęcić się dziełu swemu całkowicie, ze wszystkich sił mu służąc, i co więcej—w ten sposób przyciąga on do siebie siłę wyższego rzędu, a siła, którą w ten sposób osiąga, pozostaje jego własnością już na zawsze.

Słyszę, jak odpowiadasz mi na to, czytelniku:

„Nie mogę się uwolnić od troski, wysysającej ze mnie siły. Czasy są ciężkie, dochody tak małe, a życie tak drogie. Rodzinę mam dużą, musi ona gdzieś mieszkać, ubierać się i żywić — wszystko to dniem i nocą ciąży na mnie. I w takich warunkach ty mówisz o beztrosce! Bredzisz, kochany autorze, jawnie bredzisz!”

Jak widzisz, przyjacielu, pozwoliłem ci wypowiedzieć wszystkie twe zarzuty i kontrargumenty w całej ich powadze. Jeżeli możesz jeszcze coś do nich dodać, zrób to, proszę. Albowiem, mój najmilszy, i ty tak samo bredzisz, jak ja twojem zdaniem, a nawet więcej, mówiąc, że przynajmniej w tej chwili nie możesz się wyzwolić od ssającej cię troski. A zresztą ta kwestja nic a nic nie wpływa na ostateczny rezultat tej sprawy, którym jest: strata sił przez te troski, istotna szkoda na zdrowiu, starzenie się cielesne i — najgorsze z wszystkiego — dobrowolne odcinanie samego siebie od przyciągającej siły ducha, która—gdy jej swobodnie działać pozwolisz, jak w lilji — obdarzy cię wszystkim, czem możesz się przez dzień nasycić i nacieszyć: bo przecież więcej w sobie wchłonać nie zdołasz nigdy, jak tylko właśnie tyle, ile możesz i ile ci potrzeba, choćbyś posiadał albo wyobrażał sobie, że posiadasz, ty-

siąckrotnie więcej. Gdy nadejdzie godzina posiłku, człowiek może zjeść zawsze tylko jeden obiad, choćby miał dość pieniędzy, aby móc ich sobie zafundować tysiąc.

Gdy znajdziesz się przypadkiem w samej gęstwie tłumu, ogarniętego nagłą paniką, musisz się zachowywać tak samo, jak inni, i może cię przytem roztratuja. Życie, jakie pędzą dziś tysiące ludzi, jest takim właśnie paniką ogarniętym tłumem, który wiecznie się boi przyszłego niedostatku lub wogóle przed czemś ciągle drży. A strach, jakakolwiek jest jego przyczyna, osłabia nas i sił pozbawia.

Nie mówię ja bynajmniej, że ludzie powinni przestać się kłopotać. Wyrazu „powinni“ niema w mym słowniku. Przyzwyczajenie do troszczenia się i kłopotania jest nam wrodzone. Nasi ojcowie i przodkowie w ciągu długich pokoleń to samo robili. Ale to niestety nie a nie zmienia w niszczących rezultatach „troski o dzień jutrzejszy“. Prawo, które tutaj wchodzi w grę, działa z całą bezlitosnością. Przejedzie cię ono i zmiążdży na swej drodze zupełnie tak samo nieubłaganie, jak lokomotywa, gdy się położysz na szynach. Najlepiej uczynisz, jeśli z tego prawa wyciągniesz dla

siebie jak największą korzyść, starając się zająć odpowiednie względem niego stanowisko.

Jak to uczynić? spytasz.

Myśl o rzeczach pełnych nadziei, zamiast o beznadziejnych. O powodzeniu, nie o fiasku. Tak samo, jak pewnikiem jest, że wszechświatem rządzą stałe, niezmiennne prawa, niezawodną jest rzeczą, że wśród praw tych znajdziesz to, które powiada: „Myśląc o rzeczach jasnych, przyciągasz do siebie rzeczy jasne! Myśląc o rzeczach ciemnych, przecinasz niewidzialne nici, łączące cię z rzeczami jasnymi, i włączasz się natychmiast w obwód, w ten wielki prąd kołowy, który przyciąga rzeczy ciemne“.

Spokój rodzi spokój, siła — siłę.
I odwrotnie.

Powiesz może, iż to wszystko jest niezmiernie proste i aż za proste. Cóż, wyrastanie rośliny z nasienia wielu ludzi również nazywa bardzo prostem, banalnem zjawiskiem, jakkolwiek nikt nie zna istotnej tego procesu przyczyny. O nasieniu takim wiadomo tylko tyle, że gdy się znajdzie pod działaniem słońca w ziemi, gdzie jest trochę wilgoci, to wyrośnie. Podskakiwanie przykrywki od czajnika, na ogniu stojącego,

natchnęło ongi Jakóba Watta pierwszą myślą o potężnym działaniu siły pary. To znaczy, że ten widok dał mu pierwszą wskazówkę co do istnienia siły w parze, albo lepiej będzie powiedzieć: po za parą — w samym cieple. Ale po za ciepłem jest znów jakaś siła. Cóż to za jedna? Nie wiemy.

A to wszystko jest przecież bardzo proste.
Jak wogóle siła....

SIŁA, DUCH I MĄDROŚĆ

Wszechświatem rządzą Siła i Mądrość Najwyższa. Duch niezmierny przepływa przestrzeń nieskończoną. We wszystkim, co istnieje, od atomu do planety, objawia się największa Moc, Mądrość i Rozum.

Duch — ta największa siła i mądrość — jest jednak nie tylko we wszystkim — jest ona zarazem wszystkim, co istnieje. Duchem jest każdy pyłek góry, każda kropla morza, każdy liść na drzewie, każdy ptak, każde zwierzę, każdy mężczyzna i każda kobieta.

Najwyższa Mądrość — Duch Dobrego nie może być całkowicie rozumiany przez człowieka, ani nawet przez istotę od człowieka wyższą. Lecz człowiekowi danem jest moc i szczęście czerpać z Ducha i Mądrości Jego. I wolno człowiekowi stawać się przez to szczęśliwym, nie troszcząc się o zgłębienie aż do dna tajni Najwyższego Ducha i Jego mądrości.

Moc nas w opiekę swoją wzięła tak, jak to

uczyniła ze słońcami i niezliczonymi światami w przestworzach. I im bardziej rośniemy w poznanie najwyższej i niewyczerpanej Jej mądrości, tem więcej uczymy się i uczyć się będziemy Jej pożądać, Ją ku sobie przyciągać, częścią nas samych Ją czynić i w ten sposób stale się odnawiać. Ta zaś odnowa oznacza dla nas zdrowie coraz to doskonalsze — siłę, którą wszystko stworzone cieszy się coraz żywiej — stopniową przemianę w wyższą formę bytu — i rozwój zdolności, których dzisiaj jeszcze wcale nie znamy w sobie.

Jesteśmy wprawdzie ograniczonemi, ale nieustannie rosnącemi cząstkami Najwyższej Wieczystej Całości. A taki jest los wszystkiego, co bytuje w czasie, a więc i przemija, że uświadamia ono sobie swój stosunek do tego, co wieczne, że poznaje, jak oto ta wąska, lecz prosta ścieżyna, która do coraz większej prowadzi szczęśliwości, jest dziełem doskonałego zaufania i oddania się temu, co Najwyższe — Nieskończonej Świadomości Ducha Dobra, i że tylko w ten sposób osiągnąć można harmonijną mądrość planowych zamiarów, którą dookoła siebie wszędzie spostrzegamy, ale której dać wyraz sami z siebie nie jesteśmy zdolni.

A przeto pożądamy i domagamy się codziennie ufności. Ufność jest siłą

wiary i siłą kontemplacji, które nam poznać dają, że wszystkie rzeczy tego świata Nieskończonej Świadomości są częstkami, że wszystkie mają w sobie dobro, są więc natury boskiej, i że wszystkie tutaj, skoro tylko poznamy w nich te części bóstwa, dobru naszemu wiernie służyć muszą.

SPIS RZECZY

	<i>str.</i>
Od tłumacza	5
O życiu i śmierci Prentice'a Mulforda	7
Anioł z moczarów	
I. Alfa	15
II. Założenie kamienia węgielnego	22
III. O kupnie narzędzi—i o kupowaniu wogóle.	30
IV. Moje kury	37
V. Trudności umysłowe	42
VI. Czem jest własność	48
VII. Religja w czynach	55
VIII. Troski tego świata	62
IX. Za wysokie półki	72
X. Wszystko na swoim miejscu	79
XI. Sprzeczką z pewnem drzewem	92
XII. Motłoch w duszy	107
XIII. Taczka zgryzot	113
XIV. Omega	125
Siła i spokój	
Ekonomja sił	131
Siła	143
Spokój	151
Przypatrzcie się liljom polnym....	166
Siła, duch i mądrość	179

GŁOSY PRASY O KSIĄŻCE MULFORDA „PRZECIW ŚMIERCI”

BOLESŁAW PRUS: Istnieje w polskim tłumaczeniu Stanisława Michalskiego dziwna książka amerykanina Prentice Mulforda p. t. „Przeciw śmierci“, którą radziłbym parę razy odczytać. *Tygodnik Ilustrowany*

TADEUSZ RITTNER: Przed kilku tygodniami przeczytałem książkę, której zawdzięczam kilka tygodni absolutnej pogody duszy. Postanawiam sobie przeczytać ją niezadługo po raz wtóry i wogóle czytać ją możliwie często — z tą samą korzyścią dla mego humoru i mej energii życiowej.

Książka, która mi daje takie szczęście, ma wartość większą, niż tysiące dzieł „niepozabawionych zalet literackich“. *Kurjer Warszawski*

Inteligentny czytelnik znajdzie mnóstwo powiedzeń, które przemówią odmiennie do każdego, stosownie do upodobań jego indywidualnych, wszyscy zaś bez wyjątku odczuć muszą technienie zdrowego i szlachetnego optymizmu, jaki się z niej unosi.

Słowo Polskie, Lwów.

W dobrym przekładzie pojawiła się książka amerykańskiego moralisty, który chce ludzi nauczyć żyć. Z różnych książek moralizatorskich, które w ciągu kilku lat ostatnich pojawiły się na rynku książkowym świata, książka Mulforda jest najlepsza. *Myśl Niepodległa*

Książka Mulforda daje dużo chwil dobrych i natężeń czystych—nie przez swą wolę walki ze śmiercią cielesną, ale przez swoją nieświadomioną walkę duchową z ociężałością i bezmyślnością, z lenistwem duchowym, z gnuśnością, ze zniechęceniem i zwątpieniem. I dlatego jest naprawdę książką żywotną.

Dziennik Powszechny

Cokolwiekbyśmy myśleli o tej idei nieśmiertelności ciała, trzeba pojąć i przyznać, że jest ona na linii dążeń dzisiejszych wynikiem wprost niezbędnym. Wierzyło się dawniej, że duch sam, bez pomocy ciała wszystko może i powinien. Dziś wiemy i uświadamiamy sobie coraz silniej, że człowiek cały musi stanąć do walki, że dzielność, sprawność, doskonałość tego kształtu, który dopiero indywidualność naszą stanowi — są to warunki zdrowego pożądanego zwycięstwa.

Prawda



